N. 31. WARSZAWA d. 24 Lipca (5 Sierpnia) 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

PRZYCZYNKI

DO HISTORJI I LITERATURY

ORYGINALNE I TŁOMACZONE

PRZEZ

Michała Gliszczyńskiego.

III.

Teorja i Praktyka w Stanach Zjednoczonych.

Dr. Gustaw Hofacker. Stuttgard 1869.

Wiele teraz mówią i piszą o wychowaniu kobiet. Nowożytne towarzystwo przyszło wreszcie do rozumu i przyznało kobiecie prawo do samodzielności, a następnie uprawniło reformę w dotychczasowem jéj wychowaniu w tym kierunku, żeby mogła stać o własnych siłach, żeby mogła sama sobie radzić, żeby była człowiekiem kobietą, a nie wystrojoną na wystawę lalką, słowem żeby znała życie tak jak ono jest: naprzód w teorji ale tuż zaraz w praktyce.

Ta reforma w wychowaniu i w życiu kobiety, ta emancypacja z pod przewagi mężczyzny, wpłynie bardzo wiele i bardzo dobrze na przyszłe losy narodów i jednostek. Reformę tę, w świecie niewieścim tak szybko w życie wchodzącą, radzibyśmy widzieć i między mężczyznami, a nadewszystko życzylibyśmy sobie żeby młodzież ściśle i wytrwale przyuczano do rachowania na własne siły, do uczenia się tego tylko z czego w życiu można mieć utrzymanie i zdobyć sobie niezależność, największy skarb na świecie.

W tym samym duchu napisane jest dzieło, którego tytuł wyżéj przytoczyłem. Jest to bardzo ciekawa i poucząjąca praca. Autor, z niemiecką sumiennością opowiada nam, w dobitnych rysach, wychowanie i życie Amerykanów, tak mężczyzn, jak i kobiet; porównywa je z wychowaniem i życiem Europejczyków i rozstrzyga ostatecznie na korzyść Amerykanów, wynosząc pod niebiosa ich praktyczność, kiedy my w Europie bałamucimy jeszcze rozum i serce suchemi i pokrzywionemi nieraz teorjami. Myślę, że wszystkim nam lepiejby było na świecie, gdybyśmy sporą dozę owéj praktyczności od Amerykanów przyjęli. Możeby życie nasze straciło na piękności i eleganji, ale by zyskało na wygodzie i niezależności.

O ile można, podam czytelnikom treść tego dzieła własnemi słowami autora. Warto się nad nią zastanowić.

Mało jest krajów, a może nie ma żadnego, gdzieby tyle nazwisk klasycznych można było usłyszeć, co w owéj obiecanéj ziemi Jankezów (1) europejskiemu turyście, który wsiadł przy Hudsonie na koléj żelazną i jedzie zwiedzić wodospad Niagary, wydaje się że jest w starożytnym a nie w nowym świecie. Wszędzie słyszy następujące wyrazy: stacja Rzym, stacja Utika, stacja Syrakuzy. Jeżeli kto był przypadkiem na wyborach Prezydenta Stanów Zjednoczonych, to zapewne słyszał jak wystawianą wojenne czyny Granta i porównywano go nie z Karolem XII, nie z Napoleonem ale z Aleksandrem W. i Cezarem.

Mimo to wszystko, bardzo tam za Oceanem nisko stoi to, co w Europie wychowaniem klasycznem nazywamy.

Stany Zjednoczone z ich bogactwem płodów mineralnych, z ich rzekami i jeziorami, oraz potężnemi dźwigniami nowożytnéj kultury, otwierają dla spekulacji wszelkiego rodzaju tak obszerne pole, jakiego dotąd nigdzie w historji nie spotkaliśmy.

Do Nowego Yorku przybywa corocznie około 100,000 ludzi, po największéj części rękodzielników, którzy łatwo znajdują tam robotę i wnet tworzą rodzinę i dom. Ta też ludność Nowego Yorku wraz z jego przedmieściami wynosi teraz do 2,000,000 mieszkańców, kiedy na początku tego wieku liczyła tylko 50,000. Ceny domów i placów doszły do bajecznych cyfr, podniosły się w dziesięcioro. Cuda także opowiadają o mieście Chicago, które w r. 1830 miało 200 mieszkańców, a dziś liczy ich 300,000. Bo też Chicago jest targowiskiem wszystkich produktów, wytwarzanych przez owe miliony pracowitych, niemieckich chłopów, osiadłych w stanach: Michigan, Illinois, Wiskousin, Jowa i innych.

Nie ma się więc czemu dziwić, że młody Amerykanin nie bardzo dba o wychowanie klasyczne (filologiczne), ale za to uczy się pilnie i szybko tego co się natychmiast da w praktyce użyć, to jest zamienić na dollary. Jankez powiada, że w jego ojczyznie panuje *almighty dollar* wszechmocny dollar. Jeżeliby kto chciał rozwodzić żale nad tem nieustannem gonieniem za skarbami tego świata, to niech sobie przypomni że ono to jest głównym heblem kultury Stanów Zjednoczonych, która tak olbrzymie przybrała tam rozmiary i ciągle do najśmielszych i najświetniejszych popycha przedsiębierstw.

Amerykanin tedy uczy się tego tylko, co jest koniecznie potrzebnem w życiu. Z historji i literatury umie tylko historję i literaturę swojego kraju. Zdumienie ogarnia Europejczyka, kiedy ujrzy jak Amerykanin nic a nic nie wie o tem co nie jest amerykańskie. Z Geografii np. nie mają najmniejszych wiadomości. Trafiło się raz że poseł Stanów Zjednoczonych wyprawiony do Costa-Rica chciał przez Europę jechać do miejsca swego przeznaczenia.

Trzy są główne przedmioty, których Amerykanin przedewszystkiem i gorąco uczy się w szkołach: dobrze mówić, ładnie i szybko pisać i biegle rachować.

We wszystkich północno-amerykańskich szkołach są tak nazwane *Debattir-Clubs* — kluby rozpraw, urządzone zupełnie parlamentarnie. Prezydent stawia zadanie, najczęściéj politycznéj lub społecznéj

(1) Przezwisko typowe nadane Amerykanom—jak Anglicy nazywają się John Bull.

treści; mianuje kommisję, która w ciągu tygodnia musi ze wszystkich stron rozebrać swe zadanie, a potem na ogólnem posiedzeniu za lub przeciw zadaniu rozprawiać. Nieraz można tam usłyszeć wyborne i mocne dupliki i repliki, aż wreszcie komitet, wyznaczony ad hoc, rozstrzyga ostatecznie kwestję. Jeszcze po wyjściu ze szkół młodzi Amerykanie zakładają sobie tego rodzaju kluby, w których nieraz wielkie i ważne zadania bywają rozbierane.

Autor opowiada, że za jego pobytu w Nowym Yorku na porządku dziennym były np. następujące kwestje: „Czy na kolejach miejsko-konnych mężczyzni powinni ustępować miejsca kobietom?" Rzeczywiście, drażliwe pytanie w kraju, gdzie kucharka i pani, żona prostego wyrobnika i żona prezydenta Stanów Zjednoczonych jest lady i jako taka chce być traktowaną. Dwa inne pytania, charakteryzujące wybornie Amerykę, brzmiały jak następuje: „Czy proroctwo opiera się na natchnieniu, czy na dokładnéj znajomości wypadków? Czy Jerzy Wasington był bohaterem?" Tym to sposobem dochodzą Amerykanie do owéj zadziwiającéj wprawy w mówieniu publicznie, do owéj zwięzłości i jasności w tłomaczeniu się, o co w Europie tak trudno.

Jest to fakt, że dzieci europejskich rodziców w Ameryce, bardzo chętnie uczą się po angielsku i prędko zapominają rodzinnego języka, bo angielski jest dla nich bardzo łatwy i nie potrzebują mozolić się nad nim.

(d. n.)

KORESPONDENCJA

z

WIEDNIA.

(Dokończenie.)

Ponieważ byliśmy już w sali sądowéj, nie podobna pominąć innéj ciekawéj rozprawy, która się tu niedawno odbyła. Rzecz miała się następnie. Pewnego pogodnego wieczoru guwernantka z prywatnéj pensji, wracała z panienkami z przechadzki. Jakiś młody człowiek, coby nie uszło na prowincji, w wielkiem mieście należy do rzeczy zwyczajnych— jakiś młody człowiek, nieznajomy zupełnie ale przyjemnéj powierzchowności, zbliża się do guwernantki wszczyna z nią rozmowę, a to tak zręcznie i z takim wdziękiem, że młoda niedoświadczona osoba nie tylko nie obraziła się jego natręctwem, ale owszem zdawała się znajdować pewną przyjemność w jego towarzystwie. Mówił jéj ciągle o sobie, opowiadał że jest doktorandem praw, że nie ma funduszu na opłacenie taks egzaminacyjnych, że kiedyś zostanie adwokatem, a wówczas... Rozmowa coraz bardziéj ożywiała się i stawała coraz poufalszą — w końcu przyszło do wymiany kilku czułych spojrzeń i obietnicy zobaczenia się znowu. Odtąd młody ten człowiek widywał się codziennie z guwernantką, bądź to na przechadzce, bądź na pensji, dokąd na jéj prośby pozwolono mu przychodzić. Ale zbliżał się dzień wyznaczony na egzamina, dzień zarówno ważny dla obojga, bo przybliżał ziszczenie się ich najsłodszych nadziei. Brak funduszów na opłacenie taks, był ciągle jedyną wprawdzie, ale też najważniejszą ich połączenia się przeszkodą. Guwernantka posiadała 400 guldenów złożonych w sądzie w Monachium, nalegała więc na matkę, aby coprędzéj podniosła tę sumę dla przyspieszenia jéj szczęścia. Stało się to niebawem i guwernantka wręczyła posag swój narzeczonemu, na opłatę taks. Widziała go wówczas po raz ostatni. Poszedłszy na ten nieszczęśliwy egzamin, przepadł jak kamień w wodzie. Z jakiem utęsknieniem, biedna dziewczyna czekała na niego, jak się na każdy szelest zrywała, sądząc że to on przychodzi, w jakiéj była trwodze o niego, wszystko to mogłoby stanowić niewyczerpany materjał do powieści.

W parę tygodni później, do pewnego izraelity, nauczyciela religji, przychodzi nieznajomy młody człowiek, doktorand praw i oświadcza się o córkę. Uczony w piśmie zdumiony niespodziewanemi i tak obcesowemi oświadczynami, zadaje mu rozmaite pytania, lecz ten odpowiada bez zająknienia. Pracuje u adwokata i sam wkrótce nim zostanie, za kilka miesięcy bowiem składa egzamina. Nauczyciel religji nie ma majątku na wyposażenie córki, ale doktorand żąda tylko tyle, ile potrzeba na opłacenie taks a przytem jest on tak miłéj powierzchowności, że niepodobna się mu oprzeć. Stary zrobił jeszcze jakąś uwagę, zdradzającą że mu niedowierza zupełnie.

— Na popioły matki mojéj przysięgam, zawołał młodzieniec, że zamiary moje są czyste.

— Nie przysięgałby się przecież na popioły matki, gdyby miał być oszustem; pomyślał uczony w piśmie i szczęśliwy, że w tych czasach niezmiernéj posuchy na konkurentów do stanu małżeńskiego, niebo tak łaskawem okazało się dla niego, zaprowadził doktoranda do żony i córki.

Odtąd młody człowiek bywał codziennym gościem w domu nauczyciela religji, a w krótkim czasie zaskarbił sobie serca całéj rodziny, i pozyskał słowo panny. Harmonji téj może nic nie byłoby dotąd zamąciło, gdyby nie to, że dzień wyznaczony na egzamin szybko się przybliżał. Doktorand otrzymał żądaną kwotę na taksy. Odchodząc, opowiedział dokładnie gdzie ten egzamin ma się odbyć i zaprosił ojca, aby tam przyszedł o wyznaczonéj godzinie. Ojciec nie chybił ani minuty, ale jakież było jego zdziwienie, gdy mu w miejscu wskazanem powiedziano, że egzamina tego rodzaju odbywają się zupełnie gdzieindziéj. Nie tracąc czasu pospieszył w miejsce właściwe, lecz tam nie słyszano nigdy o młodym człowieku tego nazwiska, które nosił jego przyszły zięć. Podobnież nie znał go i nigdy nie słyszał o nim adwokat, u którego miał pracować od lat kilku. Stroskany ojciec doniósł więc o wszystkiem policji, a tam, miano już w ręku podobną skargę pewnéj guwernantki i domyślono się, że doktorand praw który ją oszukał jest tą samą osobą o któréj mówił uczony żydowski, chociaż tamten był chrześcianinem a ten żydem.

Po niejakim czasie udało się wyśledzić pana doktoranda. Stawiony przed sądem skazany został w rozprawie publicznéj za oszustwo na trzy lata ciężkiego więzienia, obiedwie zaś panienki nie tylko że długo czuć będą najdotkliwsze upokorzenie przed sobą samemi, ale nadto stały się pośmiewiskiem dość znacznego koła znajomych, a może smutne to wydarzenie będzie także miało przeważny wpływ na dalsze ich losy. Są one niezaprzeczenie godne pożałowania, a ich położenie teraźniejsze nie jest bynajmniéj do pozazdroszczenia, ale ileż to kobiet stokroć smutniejszego doznaje losu w skutku podobnych oświadczyn, obietnic, wyznań i przysiąg, jakie czynią im nie już oszuści podobnego rodzaju dla wyłudzenia pieniędzy, lecz ludzie tak zwani porządni, którzy przed popełnieniem zbrodni częstokroć najzupełniejszego wszędzie doznają szacunku, a po jéj spełnieniu, gdy czyn stanie się powszechnie wiadomym, zamiast wzgardy, spotykają zachęcające uśmiechy. W Ameryce tylko zarówno prawo jak opinia publiczna są nie ubłaganemi w takich razach dla oszusta, usprawiedliwiając zawsze kobietę. U nas w Europie przeciwnie, odpycha kobietę oszukaną a prawo tak niedostateczną rozciąga nad nią opiekę, iż możnaby ją raczéj uważać jako wyjętą z pod prawa. Rozumie się że w Wiedniu jest tak samo jak gdzieindziéj. Na jednem z przedmieść mieszkała od dłuższego już czasu u pewnéj praczki żona urzędnika magistratualnego, rozwiedziona z mężem i jéj dziewiętnastoletnia córka, która była matką kilkumiesięcznego dziecka. Córka imieniem Teresa, kochała niezmiernie to dziecię i usilnie pracowała wraz z matką na utrzymanie swojéj maleńkiéj Augusty, jéj i siebie.

Wielu ludzi młodych, należących do bardzo wysokich sfer w społeczeństwie tutejszem, cisnęło się do pięknéj Teresy, ale bezskutecznie. Pozostała przy matce, wylana dla niéj i dla dziecka, oddana pracy i nad wszystkie rozkosze owego świata w którym miliony topnieją, przeniosła życie pełne pracy i smutku, który ją od dłuższego już czasu uciskał. Przyczyną tego smutku było, że ojciec jéj dziecka, inżynier znany w obszernem kole, nietylko już dawno ją opuścił, ale nawet i o dziecko coraz mniéj dbał, coraz mniéj o niem pamiętał, a w końcu wyparł się jéj zupełnie. Za wiele było tego dla niéj, nie mogła oswoić się z myślą, że dziecko jéj nie będzie miało ojca i powzięła okropne postanowienie zabić najprzód dziecko, a potem siebie. Może byłaby zaniechała tego zamiaru, gdyby nie drobny na pozór, ale nader dotkliwy wypadek. Kobieta u któréj mieszkały, posądziła ją o kradzież, drobnostki wprawdzie, lecz zawsze o kradzież. Teresa niezmiernie drażliwa w poczuciu swojego honoru nie namyślała się już dłużéj, i wybrała dzień na wykonanie swego przedsięwzięcia. Matka widziała niepokój córki, lecz nie domyślała się przyczyny i przypisywała go innym pobudkom. Całéj rodzinie dokuczyła nędza, pomimo tego matka postanowiła zastawić resztę rzeczy, aby praczce odkupić przedmiot, o którego ukradzenie posądziła jéj córkę. Podczas gdy się w tym celu wybrała z domu, Teresa poszła wraz z dzieckiem do swojéj przyjaciołki, pracującéj u fotografa. Wiedziała że przyjaciółka ma u siebie sinek potasu, wiedziała gdzie go chowa. Czas wymiarkowała dobrze, przyjaciołki nie było w domu, lecz tylko jedenastoletni jéj synek. Teresa poprosiła go o szklankę wody, rozpuściła w niéj truciznę i położywszy się na sofie, posadziła dziecko przy sobie. Jakby niezdecydowana, walczyła chwilę ze sobą, poczem podniosła się prędko i dała dziecku napić zabójczy. Obecny chłopiec, patrząc na to wszystko zdawał się zgadywać o co idzie, przyskoczył więc do Teresy i chciał jéj wydrzeć szklankę, lecz ściskała ją konwulsyjnie i odepchnąwszy chłopca prędko wypiła resztę. Chłopiec wybiegł czemprędzéj na ulicę i sprowadził policjanta, który natychmiast odwiózł dorożką matkę i córkę do policji. Przywołano spiesznie lekarza, lecz — nim jeszcze przyszedł dziecko skonało. Na Teresie trucizna żadnego nie sprawiła skutku, żyje i jest zdrowa. Zapewne wkrótce będziemy mieli sposobność przekonania się, czy rozpacz jakiéj się nieszczęśliwa w murach więzienia oddaje, nie jest skuteczniejszą niż sinek potasu trucizną. Biedna kobieta; gdyby sądy przysięgłych rozstrzygały o jéj winie, byłaby bezwątpienia uznana niewinną, tak zaś, będzie skazaną pewnie na lat kilka ciężkiego więzienia. Opuszczenie jéj przez złego męża, poczytane będzie co najwięcéj za okoliczność łagodzącą, o przypisaniu zaś całéj winy jemu samemu jako głównemu sprawcy całego nieszczęścia, nikt ani nie pomyśli. Sąd go może nawet powoływać nie będzie, a opinja publiczna milczy.

Przed parą tygodni umarł w Wiedniu dr. Ma-

ksymiljan Letteris sławny orientalista, urodzony we Lwowie, pochodził ze starożytnéj rodziny holenderskiéj Halevi, która osiadła w Polsce za Jana III i dopiero za rządów austryjackich odmieniła nazwisko. Letteris ukończywszy szkoły we Lwowie, uczęszczał do tamtejszego uniwersytetu i oddawał się nauce języków wschodnich, nie zaniedbując jednak i innych literatur. Od r. 1831 mieszkał częścią w Wiedniu częścią w Pradze i był zawiadowcą drukarni orjentalnych. Pierwsze dzieło wydał w 18 roku życia. Pisząc z równą łatwością prozą jak wierszem, wydał wiele przekładów z Racin'a, Szyllera i Byrona na hebrajskie. Nawet „Fausta Göthego przetłomaczył i wydał pod tytułem „Achar". Nadto wydał bardzo ceniony słownik i krytyczną historję starożytną hebrajską. Był członkiem wielu stowarzyszeń uczonych. Od cesarza otrzymał order pro literis et artibus.

S. Nowiński.

URYWKI Z PODRÓŻY
PO STYRJI
PRZEZ
Tadeusza Jerzego Steckiego.
w roku 1870 odbytéj

VI.

Zamek Hainfeld — kronika dawnych jego dziedziców Purgstallów. Joanna Purgstallowa szkotka, jéj historja i stosunki z Walter-Scottem. I. Hammer archeolog, orjentalista, stanowisko jego literackie, rozbiór prac — dziwactwa w starości. Opis pokoi i wewnętrzne ich urządzenie w zamku Hainfeld.

Pobyt nasz w Gleichenbergu przedłużył się nad zamiar, mieliśmy czas zwiedzić wszystko co widzenia było godnego w okolicy — pozostawał nam tylko zamek Hainfeld — do którego już przed odjazdem wycieczkę postanowiliśmy. Pod innemi wprawdzie względami niż poprzednie, zasługuje on jednakże na szczegółowe wspomnienie w naszych notatach. O kwadrans tylko drogi od Bertholdsteinu odległy zamek ten ani położeniem, ani budową swą do tamtego zgoła niepodobny. Zbudowany na płaszczyźnie, nieobronny, choć na granicy niespokojnych Węgier położony, prócz czterech ciężkich baszt rogowych i wjazdowego niegdyś zwodzonego mostu, niczem zresztą na miano zamku nie zasługuje. Ogromny ten czworobok ma kryte krużganki od dziedzińca, we środku kaplicę, a na obu piętrach po 39 pokoi. Dla oka przyzwyczajonego już w tym kraju, do obronnych, murami opasanych siedzib, zawieszonych na cyplach najwyższych skał niekiedy, zamek tutejszy robi zupełnie wrażenie staréj fabryki, gorzelni lub niemieckiego browaru. Nago tu dokoła, nie ma drzewka nawet jednego coby widok urozmaicał, zdaleka tylko piętrzą się Alpy — a wśród nich przezierają okoliczne zamki Riegersburg, Bertholdstein, Kapfenstein i kilka innych już Węgierskich. Pomimo jednak tak niepozornéj powierzchowności, Hainfeld już w początkach XIV wieku był senjorjalną siedzibą panów tego imienia. Gdy ci wygasli przechodził kolejno we władanie, Teuffenbachów, Winklerów, Zwicklów i innych starożytnych rodzin Styryjskich. (1) W 1719 r. kupił go dziedzic Riegersburga i kilku innych zamków w okolicy, hrabia Wacław-Karol Purgstall, pan możny i światły, od którego wzniesienie się tego miejsca i jego tradycje datują. Mało który z ówczesnych rodów magnackich w Styryi, mógł się poszczycić szeregiem tylu ludzi światłych, ile ich było w rodzie Purgstallów, tradycyjne cnoty szły w nich w parze z nauką. Ale był to już ród gasnący, bo już w czwartem pokoleniu od pierwszego nabywszy Hainfelda zakończył się ostatecznie, każdy jednak z czterech ostatnich tutejszych dziedziców, był znakomitością krajową. Pierwszym był to ten Wacław-Karol, który tyle pamiątek po sobie w Riegersburgu pozostawił. Zaczął on swój zawód wojackią, oddał się następnie dyplomacji. W autorstwie znany był z dzieła „Topographie des österreichischen Deutschlands, Wien 1701—2 Bd." które napisawszy w 20 roku życia poświęcił cesarzowi Leopoldowi. Prawdziwym jednak luminarzem w tym rodzie był syn jego Jan-Baptysta, założyciel towarzystwa rolniczego w Styryi w 1773 r. rozmiłowany w naukach i rozległe mający stosunki z uczonemi całéj Europy. Agronomja rozumowa stanowiła ulubioną gałęź jego studjów: na tem polu wielkie w kraju położył zasługi. Znaczną część dóbr swoich poprzekształcał na fermy wzorowe dla pożytku uczących się. W r. 1765 na dawnych fundamentach wzniósł niekształtny dzisiejszy zamek w Hainfeld, do czego mu jakiś niefortunny włoski architekt dopomógł, urządził go wewnątrz: zebrał w nim bibliotekę przeszło 10 tysięcy tomów liczącą, jednem słowem pracą i usilnem krzątaniem się zgromadził wszystko co dziś jeszcze w tym zamku widzimy. W Riegersburgu miał zamek wspanialszy, tak jednak lubił Hainfeld, że tu najczęściéj przesiadywał tu i umarł w 1785 roku. Syn jego Wacław-Jan-Godfryd odziedziczył po nim niętylko jego naukę ale i wszystkie jego gusta i upodobania, wszechstronniejszym tylko był od ojca. Większą część życia spędzał w podróżach po obcych krajach, wędrówki te stały się w końcu manją jego. Zawdzięczając im swe wykształcenie, uważał je za niezbędny dla każdego środek do nabycia wiedzy. „Gdybym miał córkę" powtarzał często, nie wydałbym ją za człowieka któryby nie odbywał dalekich podróży." Również jak i ojciec ubiegał się za stosunkami z uczonemi całego świata. Kant, Fichte, Reinhold, Göthe, Herder, Wieland, Lavater, byli z nim w listownéj korespondencji, którą wraz z ojcowską przechowała się dotąd w bibliotece tutejszéj i stanowi największe jéj bogactwo.

Smutny i przedwczesny był koniec tego Purgstalla. Podczas wojen Napoleońskich, uniesiony patrjotyzmem zaciągnął się w szeregi armji Austryjackiéj. W wyprawie włoskiéj pod Padwą w 1809 r. dostał się do niewoli i jako więzień stanu w wilgotnych kazamatach w Mantui zamknięty, uległ w nich chorobie piersiowéj z któréj umarł mając niespełna lat 40 w 1812 r. we Florencji, gdzie po odzyskaniu wolności, ratować się jeszcze usiłował. Dawniéj jeszcze w podróżach swych po Szkocji, poślubił Purgstall młodą, pełną wykształcenia miss Joannę Cranstoun, któréj siostra była za sławnym ówczesnym filozofem szkockim Dugaldem Stewartem. Przybywszy z mężem do Styrji, Szkotka nie opuściła już téj swojéj nowéj ojczyzny, pomimo strat jakie ją tu spotkały, strat męża i syna ostatniego potomka w rodzie Purgstallów. Osamotniona ta staruszka umarła dopiero w 1834 roku na zamku w Hainfeld. Była to jedna z więcéj wydatnych kobiecych postaci swojego czasu, o któréj uczeni, którzy ją osobiście znali, wiele pisali.

Prywatne jéj życie pełne nieszczęść i przygód. Anglikowi Basilemu Hall, który w jéj domu wraz z rodziną gościł przez pół roku i był świadkiem jéj śmierci, dostarczyło materjału do napisania całego tomu ciekawego dzieła p. t. „Schloss Hainfeld or a Winter in lower Styria" książki o któréj już uprzednio wspominaliśmy. Jeszcze w Szkocji, w czasach swéj pierwszéj młodości miss Joanna Cranstoun, była w ścisłych stosunkach przyjaźni z Walter-Scottem. Wielki romansopisarz poświęcał jéj pierwsze swe prace, czytał jéj każdy swój rękopis z wiarą w trafność jéj literackiego sądu i sam przyznawał, że w nim młoda jego przyjaciółka pierwsza obudziła zamiłowanie i zapał do literackiego zawodu. W jednym z lepszych swych romansów Rob-Roy, na niéj odwzorował Walter-Scott pełną charakteru i oryginalności postać Dianny Vernon: tego romansu jednak, nigdy jéj podobno nie pokazał. Hall w swéj książce zebrał mnóstwo ciekawych szczegółów o tym stosunku poety z Purgstallową, a przy końcu umieścił nawet ciekawy list który Walter Scott już w starości pisał do swéj przyjaciółki.

Długo spokojnie płynęło życie mieszkańcom Hainfeldu, których usposobienia i charaktery dobrane zdawały się długie w przyszłości szczęście rokować, przeznaczenie jednak inaczéj chciało i na raz uderzyły gromy w ich niczem niezamącone wnętrze. W samym rozwoju życia, znękany chorobą, umarł Godfryd Purgstall, na rękach żony, któréj staraniu winien był swe oswobodzenie z więzienia, która go szalenie kochała. Osamotniona tą stratą biedna Szkotka przelała całą swą czułość na jedynaka syna. Było to dziecię nadzwyczajne i już od kolebki coś genialnego zapowiadające. W piątym roku życia, chłopczyna znał już kilka obcych języków, czytał naukowe książki, rozwiązywał najtrudniejsze matematyczne zadania i namiętnie lubił muzykę. W kilka lat potem już głośną była sława tego fenomenalnego dziecięcia, zewsząd zbiegano się do Hainfeld dla zobaczenia go — w literackich niemieckich kołach krążyły jego piękne, pełne dojrzałego natchnienia poezje, ogólne budząc zdziwienie.

Sławny Lemaistre w swoich podróżach w Londynie wydanych (T. II str. 358) o tym synie Purgstallów, wyrażał się jak o genialnem dziecięciu, któremu przepowiadał że z czasem Newtona prześcignie. To wszystko jednak przepełniało strachem serce matki i sprawdziły się jéj smutne przeczucia, siły umysłowe, zwalczyły fizyczny organizm tego niepospolitego dziecka. W 19-éj wiośnie życia był to już starzec, który gasł w oczach otaczających, aż nareszcie 17 Stycznia 1817 roku skonał na rękach młodéj swéj jeszcze matki, która odtąd już sama na świecie i na obcéj ziemi, z którą prócz wspomnień i grobów nic ją już nie wiązało, pozostać miała — ale nie tu był jeszcze kres jéj cierpień. Zaledwie skończył życie Rafael Purgstall, wnet chmura dalekich krewnych z chciwością rzuciła się na pozostałe po ostatnim potomku obszerne Purgstallowskie dobra. Rozszarpano je, a gdyby nie wpływ jakiegoś możnego lorda jéj krewnego, biednéj Szkotce nie pozostawionoby nawet, ostatniéj spuścizny— Hainfeldu, do którego tyle ją drogich wiązało pamiątek. Pomimo jednak ciosów tak wielkich, pomimo nawet nędzy, która parę razy zajrzała do jéj zamku, a od któréj uratował ją stary, wierny sługa, objąwszy zarząd włości otaczającéj Hainfeld, w osamotnionéj wdowie Purgstalla, w dawnéj towarzyszce młodości Walter-Scotta, pozostała ta towarzyskość i ten czarujący sposób bycia, który jéj w życiu ściągał przyjaźń tylu poetów i wielkich ludzi, który przechować umiała do końca życia. Zamknięta w pustym swym zamku, otoczona pamiątkami, których jak relikwj

---

(1) O pięknym starożytnym nadgrobku Zwicklów tutejszych dziedziców, w kościele w Feldbach znajdującym się, wspominaliśmy przy opisie tego kościoła. Tam także widzieć można marmurową płytę z herbami Winklerów, zdjętą z frontonu tutejszego zamku, gdy ten w obce przeszedł posiadanie.

ruszyć, ani z miejsca na miejsce przenieść nie pozwalała, z upodobaniem widywała tu dawnych swych znajomych i przyjaciół, którzy aż tu do głuchéj Styrji odwiedzać ją przyjeżdżali i zamek Hainfeld zawsze był przepełniony gośćmi.

W ostatnich latach życia, złożona reumatyzmem i już z łóżka nie wstając, od hr. Rozalji Rzewuskiéj dawnéj swéj przyjaciołki, która podróżowała wówczas po Włoszech i do niéj w gościnę zawitała, dowiedziała się staruszka o kapitanie Hall, synie najlepszego z jéj przyjaciół w Szkocji, który także w tym czasie kręcił się po Włoszech, liczył kolumny rzymskich portyków i mierzył średnicę licznych kościołów. Odrazu zaświtała jéj myśl aby go ściągnąć do Hainfeld, chciała umrzeć ze wspomnieniem Szkocji pierwszéj swéj ojczyzny i dlatego napisała list zapraszając go do swego zamku, przedstawiwszy mu Styrję w najromantyczniejszych kolorach. Ekscentryczny Anglik nie dał się długo prosić, zabrawszy żonę i dzieci pewnego poranku zawitał do Hainfeldu, podobał mu się komfort jaki tu zastała staruszka widocznie już gasnąca, uszczęśliwiona była ze swych gości. Rozgościł się więc tu jak w domu, a w kilka miesięcy potem, zamknąwszy oczy przyjaciółce swego rodzica i odprowadziwszy ją do rodzinnego jéj grobu w Riegersburgu, powrócił jak przybył pod rodzinne swe niebo, gdzie wkrótce wydał książkę, w któréj z żywym talentem autorskim, odmalował wnętrze cichego zamku w Styrji, charakter na wpół dziki kraju i samą postać staruszki i osób, które w jéj domu spotykał. Książka ta tłomaczona na francuzki i niemiecki język, obudziła w swym czasie ogólne zajęcie, pomimo treści napozór tak mało interesu przedstawiającéj, i rysunki osób zupełnie prywatnych. Dziwnym zbiegiem wypadków, po wygaśnięciu Purgstallów, jeszcze raz dostał się zamek Hainfeld w posiadanie uczonego, który nagromadzone w nim zabytki, przechować umiał i nowemi zbiorami pomnożył. (d. n).

Ekonomja domowa.

Zbytek. — Znaczenie tego wyrazu. — Wydatki na przepych. — Majątki raptownie nabyte. — Szał marnotrawstwa. — Rady dla matek i gospodyń.

(Dalszy ciąg).

Widok taki nastręczał się najwybitniéj w owych czasach zaprowadzenia finansowego systemu Law'a. Ileż to było wówczas na wszystkie strony oburzających fortun i bankructw straszliwych. Lokaje stawali się na jeden raz bogatszemi od swoich panów. Nie jeden spanoszony przechodząc ulicą udawał że nie słyszy swego nazwiska, jakiem go mianowali wczorajsi przyjaciele, których dziś już poznać nie chciał. A wszyscy szaleli zbytkiem krzyczącym, dziwacznym, śmiesznym. Odżyły wszystkie szaleństwa zbytku dawnéj Romy. Po jarmarkach na stoły gry rzucano po dziesięć tysięcy dukatów, przegrywano po miljonie w przeciągu niespełna godziny.

Piekarz Brognand nie wiedząc już sam co robić z pieniędzmi zakupił cały sklep złotnika. Kiedy wydał świetną wieczerzę, żona jego w nagannéj próżności, nagromadziła na kredensach w miejscu stołowéj zastawy naczynia kościelne wraz z gotowalnianemi przyborami. Była to mięszanina oburzająca i śmieszna zarazem. Zamiast cukiernicy stała kadzielnica, patyny służyły za podstawki, puszki od pomad i flakony od pachnideł figurowały jako solniczki, itp.

Inny kupił kilka zamków i wyspę dla zaprowadzenia tam kolonii któréj władcą miał się ogłosić. Wydał bajeczne sumy na brylanty i inne klejnoty. Po nabyciu już naczyń srebrnych i pozłacanych za cztery tysiące grzywien, zakupił jeszcze srebra przeznaczone dla króla portugalskiego. Wszystko u niego było srebrne: ramy luster, stoliki, wazony, urny, kosze, karafki, miednice, kominkowe przybory, blachy, fajerki, a nawet rynki, rądelki, wiadra, wszystkie kuchenne naczynia. Na stajni ośmdziesiąt stało koni, trzydziestu służących wszelkiego wieku i wzrostu napełniało dziedzińce i przedpokoje pałacu. Roczny wydatek na dom wynosił pół miljona franków. Na wety bywały sztuczne owoce, tryskały fontanny pachnącéj wody. Z pod posadzki za uderzeniem nogą wychodziła postać automatyczna i obchodziła stół w około nalewając napój damom.

Do takiego to szału doprowadza zamiłowanie zbytku u ludzi nagle spanoszonych. Kolosalne też te fortuny wkrótce z wiatrem się rozwiały.

Wielkie szczęście że nie w każdéj epoce przypadają zjawiska podobne i smutne ich następstwa.

Ucząc się jak trzeba zapracować i jak zaoszczędzić, dobrze robi kto w przeszłości szuka nauki nie czekając aż mu je doświadczenie przyniesie. Ciężkie bowiem bywają doświadczenia nauki i gorzko je nieraz okupić wypadnie. W przykładach z przeszłości widzimy, że przyjść do majątku nie tak trudno przy zdolności i dobrem prowadzeniu, lecz trudniéj daleko nie wydać tego co się zarobiło.

Czytamy w pamiętnikach Franklina:

„Jest przysłowie angielskie:„Gdy chcesz by ci się wiodło, radź się żony” Szczęściem było dla mnie żem dostał żonę z równemi jak ja zamiłowaniem do pracy. Wiernie mi ona pomagała w handlu, składała i zeszywała broszury, sklep w porządku utrzymywała, prowadziła mały handelek na swoją rękę i t. p. Nie mieliśmy służących próżniaków, stół nasz był skromny i wstrzemięźliwy, sprzęty jak najmniéj kosztowne.“

„Przez długie czasy na śniadanie jadałem kawałek chleba z mlekiem w glinianéj misce i z łyżką cynową.

„Ale patrzcie jakto się zbytek w dom wkrada i rozwielmożnia na przekór zasadom. Pewnego poranku podano mi mleko w porcelanowéj filiżance ze srebrną łyżką. Żona w sekrecie przede mną kupiła je dla mnie, i kosztowało ją to ogromną sumę, 23 szylingi. Na usprawiedliwienie takiego zbytku miała tylko jedno tłomaczenie: zdawało jéj się że jéj mąż tak samo wart porcelany i srebra jak mężowie sąsiadek.”

(d. c. n.)

PORADNIK
DLA ZBIERAJĄCYCH RZECZY LUDOWE

NAPISAŁ

Dr. Jan Karłowicz.

(Dokończenie.)

K. i L. Przysłowia i Zagadki.

K. Co do *przysłowiów* zdaje się nam iż więcéj mamy ich zebranych niż nie zebranych. Potrzebne są jednak odmianki (warjanty) i uzupełnienie drukowanych. Do oddziału tego zaliczamy wszelkie frazesy stałe, gadki, ucinki, wykrzykniki kilkowyrazowe, zdania, porównania, rymy do pewnych imion własnych i rzeczownych, żarty z mieszkańców pewnych okolic, osób, stanów i t. p. przysłowia wróżebne, kalendarzowe i w ogóle wszelkie zwroty mowy stereotypowo się powtarzające. Notować należy jak lud objaśnia niektóre niezupełnie dziś jasne przysłowia i gadki. Jeżeli więc przy przysłowiu będzie podanie, to uczynić o tem wzmiankę przy niem, a same podanie zapisać oddzielnie pod znakiem oddziału D.

Kartki oznaczać głoską K. a zresztą jak wyżéj. Literę I. opuszczamy dla jéj podobieństwa z liczbą I.

L. *Zagadki* ważne są nietylko jako łamigłówki lub dowcipy ludowe, lecz jako mieszczące czasem porównania i przenośnie czysto mitologicznéj natury. Zebrano ich dotąd nie wiele, bardzo więc są pożądanemi. Zapisując dodawać rozwiązanie a kartki oznaczać głoską L., wymieniając powiat i wieś lub parafję.

Podane tu wskazówki może posłużą za zachętę do zbierania rzeczy ludowych, może ułatwią choć w części pracę, wskazując ich kategorje i nastręczając formę zapisywania; to ostatnie może się przyczyni do ułatwienia jednostajności pod względem technicznym, która nie małą będzie ulgą przy rozgatunkowaniu, ułożeniu i wydaniu zbiorów, oszczędzając przepisywania, które w notowaniu nie na oddzielnych kartkach byłoby nieuniknionem.

Myślę że czasopisma chętnie ogłaszać będą te materjały. Jeżeli zaś zbierający życzyliby wydawać je oddzielnie, sami lub przy pomocy nakładców, albo też zasięgnąć rady co do sposobu, wartości lub formy publikacji, to autor tego pisemka chętnie służyć będzie każdemu kto go zaszczycić zechce swem zaufaniem, i w takim razie uprasza o zgłoszenie się do niego przez pośrednictwo księgarni pana Maurycego Orgelbranda w Warszawie, na Krakowskiem Przedmieściu N. 1.

Autor zastrzega sobie prawo oddzielnego tylko przedruku tego pisemka, chętnie zaś pozwala a nawet uprasza o całkowite lub częściowe powtórzenie w czasopismach, pismach zbiorowych, kalendarzach i książkach w ogóle.

Wreszcie, niech mu za złe wziętem nie będzie, że do tylu odezw w tym przedmiocie, lepiéj zapewne przez innych wygłoszonych, swoją dołączył: zdawało mu się iż są rzeczy, których nigdy dosyć powtarzać nie można, a do takich z pewnością zachęta do zbierania rzeczy ludowych przedewszystkiem należy.

Na zakończenie pozwala sobie przytoczyć kilka słów Pana Kazimierza Łapczyńskiego, pobudzających do gromadzenia zabytków ludowych. Autor ten, drukując w Tygodniku Illustrowanym i Kłosach bardzo piękne zarysy życia wiejskiego, obfitujące w pieśni, podania i prowincjonalizmy, popiera czynem słowa swoje, które tu wypisujemy (z Tyg. Illustr. ser. I, tomu XII, str. 51): „Śpieszyć się potrzeba ze spisywaniem ludowéj poezji. Kto wie co będzie za lat kilkanaście; a może za lat kilka. Żyjemy w epoce wielkich przeobrażeń. W około nas i u nas lud, który dotąd żył swoim odrębnym żywotem, wchodzi na drogi europejskiéj cywilizacji. Tu uwłaszczenie, gdzieindziéj oczynszowanie, a wszędzie rozpowszechniająca się nauka czytania, wyrzuca go ze starych kolei i do zbratania się z cywilizacją europejską popycha. Za lat kilkanaście może w wielu okolicach zamilkną stare pieśni i podania. Dzisiejszy wieśniak może się przerodzi na innego człowieka. Ani klaskać w dłonie, ani płakać nad tem nie myślę: wolę resztki błąkające się jeszcze dawnego życia spisywać.”

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 31. 1871 r.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIEŃ MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Im więcéj upływało miesięcy, lat, tem częściéj obraz babki Ludgardy zjawiał się przedemną pośród nocnéj ciszy i ciemności, tem częściéj powtarzałam sobie i ze mną tak będzie kiedyś! Aż oswoiłam się zupełnie z tem widzeniem mojem; i patrzyłam na nie suchem, spokojnem okiem, jakiem się patrzy na przyszłość nieruchomą.

Nakoniec miłość przestała całkiem wchodzić w rachunek mego życia. Nie pozostał mi już ani cień nadziei, a jednak... marzenie pozostało. Przenosiłam je cierpliwie i czekałam starości, która mię z niem rozłączyć miała na zawsze.

Niekiedy z przykrością myślałam, że długo mi jeszcze czekać przyjdzie... a potem pocieszałam się myślą, że wszystko przecie na tym świecie koniec swój mieć musi.

Tymczasem uczennice moje dorastały. Jeszcze rok, jeszcze kilka miesięcy, a z pod opieki mojéj wyjdą już — kobietami. Nie mogłam patrzeć na nie bez wielkiéj pociechy. W świecie do którego należały majątkiem i urodzeniem, miały one przedstawić niepospolite zjawisko umysłów kobiecych, sięgających szerzéj niż ciasne kółko w jakiem obracają się zwykle pojęcia ich rówiennic, przyozdobionych czemś więcéj jak machinalną grą na fortepjanie i wprawnem mówieniem obcemi językami. Z niewymowną radością widziałam inteligencję ich pięknie i szeroko rozwiniętą, serca ich przygotowane do przyjęcia w siebie gruntownych i wielkich uczuć.

Pierwsza zasługa w tem ich niepospolitem wykształceniu moralnem i umysłowem, należała się matce rozumnéj i kochającéj, która pragnęła aby córki jéj stały się takiemi jakiemi były, ale nie mogłam też nie czuć że i ja dołożyłam się wiele do dzieła tego, i im więcéj młode panny dorastały, im więcéj dzieło to nabierało rozwoju, tem więcéj wlewało one w mnie tego nieporównanego spokoju, i zadowolenia, jakie dać może tylko poczucie dopełnionéj sumiennie powinności.

Przychodził jednak czas w którym miałyśmy się rozstać, z boleścią zapewne, bośmy się wzajem przywiązały bardzo do siebie. Zarazem przyszło mi myśleć o otrzymaniu nowego zajęcia. Obawiałam się, że tak dobrze odpowiadającego moim dążeniom i zdolnościom nie otrzymam już więcéj, a nie przewidywałam jak blizkim był koniec téj epoki mego życia, o któréj sądziłam że trwać już będzie zawsze.

Nim jednak okiem pamięci sięgnę ku ostatniemu aktowi téj części mego życia, zatrzymam się jeszcze chwilę przy wypadkach które go poprzedziły, a które lubo nie miały bezpośredniego związku z moim losem, to jednak jak wzbudzały we mnie wtedy żywe zajęcie, tak teraz wyraźnie przedstawiają się méj pamięci.

Było to w początku lata, tego lata w którém uczennice moje przywdziać miały długie suknie, i jako panny już dorosłe po skończeniu edukacji odjechać z matką na wieś. Zenia przez całą minioną zimę czuła się mocno cierpiącą na zdrowiu, co jednak wcale jéj nie przeszkadzało oddawać się zwykłym rozrywkom przeplatanym godzinami migreny, poziewania i nadpowietrznych marzeń. Organizm jéj zużywał się szybko w téj niezdrowéj atmosferze, bywały dnie w których stawała się bezsilną i płaczliwą jak dziecię. Zbuntowane jéj nerwy nabawiały ją mnóstwa urojeń, chorobliwych zachceń, wymarzonych zmartwień.

Płakała nad tem że śnieg pada, a zasuwała szczelnie firanki u wszystkich okien gdy słońce świeciło. Krzyczała z przestrachu przy najlżejszym stuknięciu, lub niespodzianym szeleście, a dostawała serdecznego śmiechu słuchając muzyki. Wzywała lekarzy, lecz ci jednogłośnie powtarzali, że tylko zupełna przemiana sposobu życia, spokój, sen regularny, zajęcie jakie ręczne lub umysłowe uzdrowić ją mogą. Kilka dni bywała im posłuszną, lecz gdy tylko poczuła się cokolwiek wzmocnioną na siłach, rzucała się znowu w świat, jak motyl w płomień świecy. Niekiedy obejmowała moją szyję i długo płakała na mojéj piersi. Odkryj mi, szeptała błagalnie, odkryj mi Wacławo tajemnicę tego spokoju jakiego używasz sama!

A gdym jéj mówiła, aby wyjechała na wieś, odpocząła po tych ciężkich trudach, które na wielkim świecie nazywają się zabawami i znalazła sobie jakie zajęcie które by ją wybawiło od okropnego znudzenia, którego była ofiarą, rozmyślała długo, robiła najpiękniejsze postanowienia, poczem szła znowu do lustra, stroiła się w najpiękniejsze suknie, i jechała na wieczór lub na wizyty. Na wiosnę w końcu wyjechała do jakichś wód zagranicznych z jedną ze swych światowych przyjaciółek, Michał zaś odjechał na wieś, dokąd wzywały go ważne majątkowe sprawy.

Wróciła na początku lata, prędzéj jak zamierzała, Michał na wieść jéj przyjazdu, pospieszył natulralnie aby ją powitać. Byłam świadkiem spotkania dwojga małżonków, i uderzyło mię pewne zmieszanie i jakby cień niechęci połączonéj z nieśmiałością, z jakiemi Zenia powitała męża. Dotąd jeżeli nie okazywała dlań nigdy żywéj miłości, to jednak w obejściu się z mężem zachowywała zupełną swobodę i zaufanie, a nawet odbijały się w nim nieraz oznaki przywiązania, i pewnéj czułéj przyjaźni. Tym razem Zenia na widok męża zarumieniła się, potem zbladła, a potem jeszcze podała mu rękę z gestem który chciała uczynić serdecznym, ale który był sztywnym i urzędowym. Michał musiał to spostrzedz, bo przystanął nagle, długie spojrzenie utopił w twarzy Zeni, i zamiast uściskać ją jak zwykł był to czynić przy powitaniu, ucałował tylko jéj ręce. Gdy podniósł twarz spostrzegłam że był bardzo blady, ale uśmiechał się i rozmawiał potem po swojemu z żoną czule i z tysiącem względów, z obecnymi zaś uprzejmie i wesoło. Nazajutrz, i przez wiele dni późniejszych spostrzegłam tę samą różnicę jaka zaszła we wzajemnem obejściu się z sobą małżonków. Zenia nie odzyskała wcale sił i zdrowia, była tak samo rozstrojona i osłabioną jak przed wyjazdem, ale zdawała się być zarazem ożywioną jakąś wyłączną myślą, która ją tak pochłaniała, że aż popadała chwilami w roztargnienie, i zamyślenie nie dające jéj spostrzegać tego co się koło niéj działo. Przytem znajdowałam ją często z gorączkowym rumieńcem na twarzy, i niezwykłym blaskiem w oczach, zmienność humoru jéj zdwoiła się; z nadzwyczajnéj wesołości popadała nagle w głęboką melancholję, z któréj znowu wynikał nerwowy śmiech, i nienaturalne ożywienie w rozmowie i ruchach. Widocznie niezwykły jakiś wypadek zaszedł w jéj życiu, a raczéj niezwykły jakiś miraż przesunął się musiał przed jéj oczami, bo jak się zdaje złudne te obrazy tworzone przez ognistą wyobraźnię i niezapełniony umysł młodéj kobiety, były jedynemi wypadkami jakie wstrząsać mogły tak zresztą łatwą i prostą jéj egzystencję. Lubo zaniepokojona o nią, nie pytałam jéj naturalnie; wiedząc zresztą że niedługo pozostanę w nieświadomości. Zenia nieposiadała dumnego i skrytego charakteru Zofji, która rozdrażniona do najwyższego stopnia przeciwko światu, niedopuszczała do wnętrza swego żadnego ludzkiego oka. Czuła i wylana dla tych których kochała, wielomówna i z natury skłonna do zwierzań się Zenia, jeśli nie znajdywała przed kim opowiedzieć swych myśli i uczuć, wylać je musiała choćby na papier. Zamknąć się w saméj sobie, cierpieć, marzyć w tajemnicy serca było niepodobieństwem dla téj istoty o umyśle rozpierzchłym w gwarze światowym, sercu miękkiem jak wosk, duszy nie zajętéj i szukającéj wszystkiego na zewnątrz siebie. Byłam pewna, że jakąkolwiek była owa tajemnica którą w niéj dostrzegałam, wkrótce sama właścicielka jéj odkryje ją przedemną. Tak się i stało.

Pewnego popołudnia gdy wolna na parę godzin od lekcji siedziałam w pokoju Zeni sam na sam z nią, spostrzegłam że miała wielką chęć mówić mi o czemś co ją bardzo zajmowało, a tylko wstrzymywała się i poglądała na mnie co chwila rumieniąc się z nieśmiałością. Nagle ujęła jedną z książek w aksamitnéj oprawie leżących na biórku, i zaczęła machinalnie niby przewracać w niéj kartki. Widziałam że była to księga *marzeń* i że Zenia oczekiwała niecierpliwie abym powiedziała do niéj:

— Pokaż mi tę książkę; czy nie przybyło tam co nowego?

Alem postanowiła sobie nie wyzywać niczem jéj zwierzenia, i ciągnęłam daléj rozmowę o obojętnych prowadzoną przedmiotach.

Rzuciła na mnie kilka ukradkowych spojrzeń, położyła księgę *marzeń* na biórku, znowu wzięła ją do rąk, i znowu spojrzała na mnie oczekujące niby pytania mego, czy wezwania, nakoniec zerwała się z krzesła i rzuciła mi książkę na kolana. Przejrzyj to, zawołała rumieniąc się silnie, a zobaczysz tu może kogoś zdawna sobie znajomego!

Potem wybiegła z pokoju.

Przerzuciłam kartki znanéj mi dobrze książki a gdy spojrzenie moje na jedną z nich upadło, zdrętwiałam cała pod wpływem zdziwienia i przykrego uczucia.

Pośród wieńca uplecionego z cierni i głogu, zoba-

czyłam naprędce naszkicowany ale zadziwiająco podobny portret — pana Lubomira!

Więc znowu ten deklamator! rzekłam do siebie, i długo siedziałam zamyślona machinalnie poglądając na ów symboliczny wieniec, otaczający długowłosą o kobiecych rysach twarz *głośnego a pustego dzwonu*.

Zaprawdę salonowy romantyk ten o pozach pasterskich i rycerskich, komedjant wygłaszający na scenie światowéj rolę swą ułożoną z brzmiących, czułostkowych i kwiecistych frazesów, wielce mógł być niebezpiecznym dla młodéj kobiety posiadającéj więcéj wyobraźni, niż zdrowego sądu, rozmarzonéj, łatwowiernéj, pędzącéj życie na ubieganiu się za wrażeniami.

Cała moja przed kilkoletnia historja z panem Lubomirem, ze wszelką wyrazistością szczegółów przesunęła się przed moją pamięcią. Miałam że ją opowiedzieć Zeni? Myślałam nad tem chwilę i postanowiłam, że opowiem ją gdy nadejdzie stosowna po temu pora. Wiedziałam dobrze jak nieraz bywa upartem marzenie kobiety wtedy, gdy ona przebudzić się zeń nie chce.

Tego dnia nie odeszłam do domu jak zwykle zaraz po skończeniu lekcji, ale zostałam u Zeni na cały wieczór w nadziei, że odkryję może sposobność stania się jéj użyteczną, usunięcia z przedjéj oczu tego nowego a niebezpieczniejszego od wszystkich jakie były mirażu.

Wieczorem siedziałyśmy obie w nieoświetlonym pokoju przy otwartem oknie wychodzącem na ogród. Księżyc świecił w pełni i białe światło jego rzucało się prosto na twarz Zeni podniesioną w górę i oblaną wyrazem rozmarzenia. Przypatrywałam się jéj z zajęciem. Pomimo nieregularności rysów była prawdziwie ponętną, a nawet piękną z bladem swem czołem otoczonem bujnemi splotami włosów, z rzewnym uśmiechem na pobladłych ustach, z oczami zapadłemi nieco i połyskującemi pośród ciemnawych obwódek utworzonych bezsennością i pełną wrażeń egzystencją. Ale wdzięk ten młodéj kobiety lubo ponętny i wzbudzający zajęcie, był jakiś chorobliwy, smętny, przerażający niemal oko baczne i z przywiązaniem na nią patrzące.

Dotknęła méj ręki gorącą dłonią i pocichu opowiedziała mi, jak zagranicą u wód spotkała pana Lubomira, jak przywiązał się on do jéj kroków, jak wszędzie i zawsze spotykała się z jego spojrzeniem w nią utkwionem, jak bladł i mizerniał pod wpływem wrażenia jakie na niego wywierała i t. d. i t. d.

Nie powiedziała mi tego wyraźnie, ale mogłam wybornie domyśléć się z jéj mowy, iż wyobrażała sobie, że pan Lubomir rozkochany był w niéj tak jak dotąd żaden śmiertelnik w nikim rozkochany nie był, że miłość jego dla niéj była właśnie tą miłością wzniosłą, namiętną, do tragicznych wiodącą końców, taką o jakiéj to piszą w romansach a jakiéj pragnęło zawsze jéj niezrozumiane, stęschnione serce.

Powtórzyła mi nawet mnóstwo słów jakie wyrzekł do niéj, a w których poznałam wyraźnie dobrze mi niegdyś znanego manekina wypchanego frazesami, i nakoniec z dwoma łzami, które zawisły na jéj rzęsach, odbijając w sobie srebrny promyk księżyca, powiedziała mi, że jest najnieszczęśliwszą kobietą bo teraz dopiero poznała, jak bardzo mogłaby kochać i być kochaną, teraz gdy wszystko już dla niéj stracone, gdy sumienie rozkazuje jéj odepchnąć od siebie to w czem szczęście swoje widzi, i szukać pociechy tylko w myśli o... mogile.

Słuchając tych zwierzeń Zeni dziwnego doświadczałam wrażenia.

Chciało mi się i płakać i śmiać zarazem. Żal mię zdejmował wielki na widok smutnego stanu duszy mojéj poczciwéj przyjaciołki, a mimowoli obraz *deklamatora* zjawiał się wciąż przed memi oczami i do śmiechu pobudzał.

Gdy jednak Zenia przestała mówić, poczułam się w wielkim kłopocie. I cóż jéj w zamian za to zwierzenie się powiedzieć miałam? Nigdy nie sądziłam aby morały stanowiły w podobnych wypadkach skuteczne lekarstwo. Służą one tylko zwykle za sposób do ostudzenia przyjaźni i do zamknięcia ust osoby w któréj zamiast współczucia, zdaje się iż znajduje surowy wyrok wydany na nią i na to, co w danéj chwili jest dla niéj drogiem i uroczem. Człowiekowi unieisonemu porywem namiętności lub wyobraźni, możesz od deski do deski przepowiedzieć katechizm religijny i obyczajowy nie osiągnąwszy przez to innego skutku jak ten, że odwróci się od ciebie i nie przestając myśléć i czynić po swojemu, pozbawi cię tylko możności podania mu właściwéj pomocy i pociechy.

Nie obracając tedy przeciwko Zeni i jéj złudzeniom ostrych końców religijnego i obyczajowego katechizmu, rzekłam do niéj po chwili namysłu.

— Dziwi mię tylko trochę kochana Zeniu, że pan Lubomir przez kilka lat bywając w domu twéj matki, gdyś była jeszcze wolną od wszelkich związków i węzłów, ani trochę nie zajmował się tobą a dopiero teraz spotkawszy cię już mężatką, tak nagle powziął dla ciebie uczucie....

Zenia zwróciła na mnie oczy pełne zdziwienia. Uwaga ta poraz pierwszy widocznie uderzyła jéj umysł. Myślała przez chwilę łamiąc się może z zagadnieniem jakie jéj dałam do rozwiązania, a nie mogąc sobie z niem poradzić nieśmiało szepnęła.

— A dla czegożby to tak było? jak ty o tem sądzisz Wacławo?

— Może dla tego, odpowiedziałam, że miłość a raczéj gra w miłość z mężatką, przynosi wrażenia za jakiemi gonią tacy ludzie jak pan Lubomir a przytem nie zobowiązuje do niczego wtedy, gdy podobne uczucie okazywane pannie prowadzi koniecznie do ołtarza i obrączki ślubnéj.

Zenia żywo wysunęła swą rękę z mojéj dłoni.

— O! jakżeś ty prozaiczna Wacławo, jakaś ty przytem podejrzliwa!

Jakto, onby miałby się bawić w miłość? on, człowiek wypróbowany w szkole nieszczęść.

Uśmiechnęłam się mimowoli. Na szczęście twarz moja pokryta była cieniem padającym od firanki i Zenia uśmiechu mego dojrzeć nie mogła.

— Kochana Zeniu, rzekłam, czy ci powiedział kiedy jakie to były nieszczęścia których szkołę przebył w swem życiu?

Spojrzała na mnie znowu oczami pełnemi zdziwienia. Znowu nasunęłam jéj na myśl uwagę któréj nigdy nie uczyniła sobie dotąd. Po chwili odpowiedziała z odcieniem niechęci w głosie:

— Nie wiem jakie były te nieszczęścia jego, ale wiem iż mówił mi wiele o cierpieniach jakie poniósł i ciosach jakie go dotknęły. A jestem przekonaną że mówił prawdę, bo tak szlachetny człowiek jak on, kłamać nie umie.

Na wyrazie *szlachetny* położyła szczególny nacisk.

— Droga Zeniu, ozwałam się znowu, chočbym cię miała znudzić memi pytaniami, poproszę cię abyś mi powiedziała jakie przypisujesz znaczenie wyrazowi szlachetność i czem według ciebie człowiek dowieść może iż jest szlachetny?

— Dziwne doprawdy pytanie zadałaś mi Wacławo, odparła Zenia którą niecierpliwił trzeźwy zwrot jaki nadawałam rozmowie; zdaje się iż każdy przez wyraz szlachetność, rozumieć musi wielką prawość charakteru, piękne czyny, wzniosłe i bezinteresowne uczucia.

— Niezawodnie odpowiedziałam; otóż twierdząc o panu Lubomirze iż jest szlachetnym, czy opierasz to swoje zdanie na świadomości o dopełnionych przez niego pięknych jakich czynach, albo o dowodach prawości jego charakteru?

Zenia z niecierpliwością brwi zsunęła, ale po chwili czoło jéj rozpogodziło się.

— Naturalnie; zawołała z tryumfem, słyszałam go nieraz mówiącego o miłości bliźniego, o równości pomiędzy sobą wszystkich na świecie ludzi, o męztwie w cierpieniu, o świętym ogniu stałéj i bezinteresownéj miłości.

— Słyszałaś go mówiącego o tem wszystkim.... wyrzekłam zwolna.

— O nieraz zawołała Zenia, a jak mówi! z jakim zapałem, jak płynnie, jak kwieciście!

— Otóż to, przerwałam; a czy nie słyszałaś czasem jak na scenie artyści dramatyczni odgrywają role bohaterskich kochanków, lub wspaniałomyślnych dobroczyńców ludzkości i czy byłaś zawsze pewną, że ci artyści zszedłszy z teatralnych desek, zostawali jako ludzie takiemi samymi rycerskiemi kochankami i dobroczyńcami rodu ludzkiego?

Zenia usunęła się żywo ode mnie i oczy jéj cisnęły na mnie błyskawicami gniewu.

— Jakto! zawołała, więc ty go masz za aktora?

Wzięłam jéj ręce których mi pomimo gniewu nie wzbraniała, i rzekłam po chwili jak tylko mogłam najłagodniejszym tonem.

— Droga moja, szranki salonów na których pędzisz twe życie, to deski teatralne, a ludzie którzy jak pan Lubomir nic nie robią tylko ślizgają się po nich, to aktorowie mniéj lub więcéj zręcznie odegrywający obrane przez się role.

Zenia wpatrywała się we mnie szeroko otwartemi oczami w których i łza żalu migotała i płonęły iskry zniecierpliwienia. Nagle jakby sobie coś przypomniała uderzyła się ręką w czoło i zawołała:

— Wszak on się starał o ciebie kiedyś, nieprawdaż?

Powiedziałam jéj że tak było w istocie.

Pochwyciła mię za ręce i z całéj siły ściskała je w swoich.

— Dla czego mu odmówiłaś? powiedz! mówiła spiesznie i utopiła w méj twarzy błyszczące przenikliwe spojrzenia.

Przyszedł tedy moment w którym powinnam była powiedzieć Zeni wszystko co wiedziałam o człowieku który uwiódł niewiedziałam dobrze, serce jéj czy wyobraźnię.

— Czy znasz historję nieszczęśliwéj Zofji? spytałam ją. Czy wiesz jakim sposobem została doprowadzoną do zawarcia nieszczęśliwego małżeństwa z twoim bratem? Czy wiesz jak postępował z nią pan Lubomir?

Słabym głosem powiedziała mi, że nic a nic nie zna téj całéj historji, że tylko słyszała nieraz jak pan Lubomir wyrażał się o siostrze swéj z nadzwyczajną miłością i z najgłębszym żalem, co jednak nie przeszkadzało mu stanowczo i najenergiczniéj w świecie, potępiać postępek Zofji i gorzkiemi słowy ubolewać nad upadkiem moralności i obyczajów, którego ona smutnym była przykładem.

— Od pewnego nawet czasu, mówiła Zenia, przestał całkiem wspominać o Zofji, a gdy ktokolwiek wspomina o niéj w obec niego, z ponurą rozpaczą lecz zarazem ze świętem oburzeniem powta-

rza, nie mam siostry. Przy tych wyrazach dwie łzy pojawiają się zwykle w jéj źrenicach.

— Proszę, wymówiłam nie mogąc opanować przykrego wzruszenia jakiego doznawałam, że świętem więc oburzeniem wspomina on o błędzie popełnionym przez jego siostrę, a jednak nie przeszkadza mu to najgorętszą miłość objawiać względem ciebie, która przecie także jesteś mężatką!

Zenia wydawała się nadzwyczajnie pomieszaną tem nowem zagadnieniem mojem.

— A, szepnęła po chwili, jeden wyraz usprawiedliwić go może; on kocha, Wacławo!

— Bądź loiczną kochana Zeniu, rzekłam; jeżeli pan Lubomir wyrazem tym a raczéj uczuciem jakie wyraz ten przedstawia, usprawiedliwia się przed samym sobą, dla czegóż równie nie znajduje w nim usprawiedliwienia swéj siostry?

Zenia obu dłońmi pochwyciła się za głowę.

— Okropność, Wacławo! zawołała, jaki ty masz szczególny dar wikłania wszystkiego w sprzeczności i zagadki!

— Być może, rzekłam, ale zarazem podejmuję się wyjaśnić ci te sprzeczności i rozwiązać zagadki!

To rzekłszy przysunęłam się bliżéj do niéj, i ze wszelkiemi szczegółami, które bardzo wyraźnie uwydatnione miałam w pamięci, opowiedziałam jéj historję Zofji i pana Władysława, w któréj tak ważną a zgubną rolę odegrał pan Lubomir.

Gdy skończyłam opowiadać, Zenia spasmatycznie płakała nie mogąc wymówić do mnie ani słowa. Śród łez powtarzała tylko ciągle; biedna Zosia! biedna Zosia! Wkrótce jednak łzy oschły na jéj oczach i tryumfująco patrząc na mnie zawołała.

— I cóż ztąd? Wszakże to było przed kilku laty. Ludzie zmieniają się i on się zmienił, teraz by pewno inaczéj, wcale inaczéj postąpił; ponieważ teraz jest on bardzo, bardzo szlachetny!

Podziwiałam upór z jakim pewne istoty trzymają się widma swéj wyobraźni. Zdaje mi się rzekłam, iż nie powiedziałam ci jeszcze, dla czego odmówiłam panu Lubomirowi, kiedy się starał o moją rękę.

— Nie chcę, nie chcę słuchać niczego! zawołała Zenia prawie ze łzami i obie ręce przykładając do oczu.

Wiem o tem kochana Wacławo, że jesteś chodzącym rozsądkiem, ale zarazem przebacz mi, gdy powiem, że bywasz niekiedy okropną prozą.

Szczególniejszym sposobem lubisz nad wszystkiem zastanawiać się, we wszystko się zaciekać; każdą myśl, każdy postępek, każdą osobę rozbierasz na drobne cząstki, i na wzór dzieci układających łamigłówki spajasz je potem aby przekonać się czy dobrze do siebie przystają. Otóż wybacz mi, ale powiem ci otwarcie, iż pomimo że cię kocham i uwielbiam twoje przymioty, nie czuję się zdolną do naśladowania cię w układaniu łamigłówek. Moje życie składa się całe z tęsknoty i wrażeń, marzenie jest mojem życiem, nie odbieraj mi ich, nie budź mię... nie wydzieraj mi téj wiary mojej jaką mam, że znalazłam przecie choć raz człowieka zdolnego do wielkiéj, wzniosłéj, szlachetnéj miłości, zdolnego umrzeć dla mnie albo wraz ze mną... O! nie odbieraj mi téj wiary i tego marzenia swojem chłodnem rozumowaniem...

Ty masz jeszcze wszystko przed sobą, wolno ci wszystkiego spodziewać się i pragnąć... ja mam tylko marzenie moje, a gdy skończą się one, skończy się zarazem i moje życie i chłodna mogiła przyjmie mnie na łono swoje wiecznie spokojne już i wiecznie ciche... O, Wacławo zapłacz choć raz na grobie moim, gdy nie będzie mię już na tym ziemskim padole płaczu!

Śmierć, mogiła były to zwrotki zjawiające się na ustach Zeni, zawsze ilekroć była zmartwioną, rozdrażnioną lub znudzoną. Wyznaję jednak, że o ile te wybryki uniesienia młodéj kobiety rozśmieszały mię wtedy gdy widziałam ją zdrową, hożą i rumianą, o tyle przykre czyniły na mnie wrażenia teraz, gdy kibić jéj stała się chorobliwie szczupłą i bezsilną, a twarz przybrała tę bladość niezdrową, z za jakiéj przeglądają nieuniknione choroby nie tylko już ducha ale i ciała.

Tymczasem patrząc na nią można było z łatwością uwierzyć, iż znajdowała się na padole płaczu. Rzęsiste łzy płynęły z jéj oczu i przeciekały przez białe palce, któremi starała się twarz swą ukrywać, pierś jéj głośnem podnosiła się łkaniem.

Uspokoić ją nie było rzeczą łatwą tem bardziéj, że dostała po chwili nerwowego ataku, spazmatycznego śmiechu i t. d. Doprawdy nie wyobrażam sobie smutniejszego i bardziéj pożałowania godnego stanu jak ten, w którym zostawała ta młoda kobieta tak dobra jednak z natury, tak pełna wdzięku, bogata, kochana.

Służące jéj które pomagały mi trzeźwić ją i rozbierać, młode, hoże i zupełnie zadowolone ze swego losu, wyglądały przy niéj jak królewne panujące w krainie szczęśliwości. Nakoniec uspokoiła się nieco i z bladym uśmiechem wyciągnęła do mnie rękę. Ale zaledwie chciałam przemówić do niéj, przerwała mi z błagalnym prawie wyrazem w oczach.

— O, proszę cię nie mów mi tylko nic złego o nim!

W milczeniu więc pocałowałam ją w czoło i przyrzekłam, że nazajutrz przyjdę do niéj znowu po skończonych lekcjach. Miałam już właśnie w towarzystwie służącego udać się do domu, gdy u wejścia do przedpokoju spotkałam Michała który powracał z miasta.

Jedna tylko lampa słabo oświetlała obszerną salę jadalną, wśród zmroku więc nie odrazu zostałam spostrzeżoną przez wchodzącego. Uderzył mię posępny wyraz jaki miał na twarzy, gdy sądził że nie jest przez nikogo widzianym. Oczy trzymał utkwione w ziemię, postępował wolnym i ciężkim krokiem i co moment przesuwał dłoń po zachmurzonem czole.

Spostrzegłszy moją obecność przystąpił do mnie z żywością, i powitawszy mię jak zwykle pocałowaniem w rękę, wymówił:

— Jakżeś pani znalazła dzisiaj moją biedną żonę?

Głos jego był miękki i łagodny jak zwykle, tylko nieco zniżony i ochrypły jak u człowieka, który budzi się nagle ze snu lub długiego milczenia i zadumy.

Trudno wyrazić głębokość i rzewność dźwięku z jakim wymówił wyraz *biedna*. Uścisnęłam mu rękę z prawdziwem współczuciem.

— Żona pana, rzekłam, potrzebuje teraz więcéj jak kiedy pańskich starań i pobłażliwości.

— Tak, tak, wymówił, wiem o tem! Dziękuję pani.

Przy ostatnim wyrazie pocałował mię znowu w rękę i odszedł. Za cóż mi podziękował? Czy za współczucie dla siebie jakie mógł wyczytać w moich oczach? Czy za to, żem go prosiła o pobłażliwość dla jego żony?

Gotowa byłam sądzić że dziękował mi za to, iż sama byłam dla niéj pobłażliwą. W istocie, człowiek ten zdawał się wcale nie myśleć o sobie.

Stojąc na progu widziałam jak przeszedł długą amfiladę nieśmiałym krokiem, zbliżył się do zamkniętych drzwi pokoju Zeni i zapukał. I widziałam jak wyszła panna służąca Zeni i coś mu powiedziała, zapewe że pani jéj usnęła już albo jest zmęczoną i z nikiem rozmawiać nie może, bo skinął parę razy głową jak człowiek, który zgadza się na to co mu powiedziano i wolnym znowu krokiem zmierzył w inną stronę mieszkania.

Widocznie więc rzeczy przybierały bardzo poważny charakter, przesilenie mające prędzéj czy późniéj zajść w życiu młodéj kobiety zbliżało się. Miałaż z niego dla niéj wyniknąć śmierć moralna lub odrodzenie.

Drżałam cała wspominając Zenię. I z przerażeniem zakrywałam sobie oczy na myśl o losach okropnych, jakie gotuje kobietom fatalny kierunek nadawany przez świat i wychowanie ich sercom i umysłom. Jakże miłym spokojnym wydał mi się dnia tego mój kątek domowy. I kiedy matka moja z niecierpliwością oczekująca na mój spóźniony dnia tego powrót, otworzyła mi swe ramiona, i kiedy usiadłam obok niéj i drogą jéj głowę oparłam na mojem ramieniu, i kiedy naprzeciw nas usiadła Emilka ze swą pogodną, dobrą twarzą i książką w ręku, którą nam głośno czytała, i Madzia w koronie z kruczych warkoczów nad czołem i Franuś ze swym wesołym wzrokiem, niekiedy tylko ciskającym iskry na piękną głowę Madzi, i stara piastunka moja ze swą nieodstępną pończochą w ręku, i gdy na to całe nasze domowe gronko spłynął biały blask lampy poczciwéj, staréj która już nam od kilku lat przyświecała co wieczór, a przez otwarte okna gdy wionęła słodka woń kwitnących w ogródku kwiatów, i szelest listków poruszanych nocnym wietrzykiem zaszumiał, i parę gwiazd niebieskich wyjrzało z za zieleni wazonów, i gdy orzuciłam wzrokiem te wszystkie drogie mi twarze jakie miałam przed sobą, i wsłuchałam się w spokój, który nas wszystkich otaczał, jako bolesna sprzeczność stanął mi przed wyobraźnią pokój Zeni, napełniony wonią narkotyków służących do uspokojenia zbuntowanych nerwów, blada twarz jéj z nabrzękłemi od płaczu oczami, śmiech serdeczny, płacz spazmatyczny, westchnienia pierś jéj podnoszące, wszystkie słowem tortury zadawane młodéj kobiecie rozognioną wyobraźnią i nie zajętem życiem. Gdy wyobraziłam sobie to wszystko i raz jeszcze obejrzałam się w koło siebie, byłam pewną, że z gałązką oliwną w ręku siedzę na tronie królestwa szczęśliwości.

Nazajutrz nie zobaczyłam Zeni przez cały ranek, bo przyjmowała licznych gości, którym ja znowu ukazać się nie miałam chęci.

W ciągu dnia weszłam do jéj buduaru, aby zabrać dotrzebne mi książki, które tam zostawiłam była przez zapomnienie, i w przyległym pokoju usłyszałam żywą prowadzoną przez kilka osób rozmowę. Stanęłam jak wryta na środku pokoju, bo pomiędzy wszystkiemi innemi głosami poznałam jeden głos dobrze mi znany, głos który podnosił się ze świętym zapałem, słabnął i rozwiewał się w miękkiem rozrzewnieniu, dźwięczał jak struny arfy tkliwemi tonami, powlekał się tragiczną posępnością jak głos pierwszego kochanka w komedji, przybierał słowem wszystkie tony wszystkie modulacje opócz jednego tonu prostoty, oprócz jednéj modulacji w któréj by brzmiała uczciwość.

— Tak, panowie, brzmiał za drzwiami pokoju w którym stałam głos pana Lubomira, tym razem świętym zdjęty zapałem. Tak, panowie upadliśmy bardzo, bardzo, skarłowacieliśmy panowie. O! jakaż to była prawda jeśli stosował ją do siebie i soieb

podobnych; skarłowacieliśmy, panowie, przestaliśmy doświadczać uczuć silnych, wzruszeń nadzwyczajnych, oddaliliśmy się od pierwotnéj prostoty natury (o, jakąż by mówił prawdę, gdyby ją był stosował do siebie) przesiąkliśmy na wskróś płochą lekkością światową, nie znamy co to praca, nie umiemy cenić zasługi...

Nie mogłam słuchać daléj taka mię zdjęła odraza, a zarazem tak gwałtowną czułam ochotę głośnym wybuchnąć śmiechem. Pochwyciłam więc moje książki i wychodziłam z pokoju. Na progu tylko posłyszałam jeszcze, jak gwar głosów pokrył na chwilę głos pana Lubomira, i jak po chwili głos ten wydobył się znowu niby z odmętu fal szemrzących i innemi już zabrzmiał dźwiękami. Zamiast świętego zapału który grzmiał przed chwilą, dźwięczały w nim drżące tony serca „wyprobowanego w szkole nieszczęść i umierającego z tęsknoty za wszystkiemi ideałami możebnemi i niemożebnemi.

— Ideał panowie, to kwiat przeczysty, który rozwija kielich swój pod promieniami ożywczego słońca! Ideał panowie jest jeden, wiekuisty, nieśmiertelny, niezmożony, błogosławiony, anielski, święty..

Przeskoczyłam próg jednym skokiem aby nie słyszeć dalszego ciągu tych przymiotników, które byłyby wszystkie bardzo piękne, gdyby w połączeniu swojem przedstawiały choć kroplę zdrowego sensu.

O, wieczni komedjanci tego świata, który sam wiecznie odegrywa komedję, o manekiny napchane frazesami, pozytywki grające za pokręceniem korby, dzwony głośne a puste, gdybyście za czasów Mojżeszowych znani byli na świecie, prawodawca Izraelski zamiast chmury niewinnéj szarańczy, rzuciłby garść was pomiędzy niewiernych Egipcjan, a tym sposobem oszczędziłby sobie trudu urządzania drugiéj jeszcze plagi, bo gęsta mgła wychodząca z głów waszych zaciemniałaby tak horyzont Egiptu, że plaga ciemności wcale by się już tam niepotrzebną stała!

Z tą myślą oddalałam się od bawialnego salonu Zeni w którym gwarnie rozmawiało zgromadzone towarzystwo, nie tak jednak gwarnie, aby głos pana Lubomira długo jeszcze nie obijał się o moje uszy.

Wieczorem dnia tego zobaczyłam Zenię. Była więcéj jeszcze niż wczoraj rozmarzona nowym swoim mirażem. Widziałam ją głęboko zamyślającą się chwilami, poczem śmiała się i rozmawiała z gorączkowem ożywieniem.

W dwa dni potem przyszła kolej na wyrzuty sumienia.

— Niegodziwa jestem, wołała zalewając się łzami, Michał taki dobry dla mnie, tak kocha mnie... przysięgałam mu być wierną i kochającą żoną, a jednak myślę o innym, zajmuje się innym...

Położyła rękę na sercu i byłam pewna że chciała powiedzieć kocham innego! a tylko powstrzymała się nagle.

— Co ty myślisz o mnie? pytała z gorączkowym niepokojem zarzucając mi ręce na szyję. Stracisz dla mnie szacunek, przestaniesz mię kochać! O! będziesz miała najzupełniejszą słuszność! Jam nie warta twego szacunku ani twojéj przyjaźni! Jam nie warta niczyjego szacunku. Mam najlepszego w świecie męża a nie umiem go cenić!

Biegała po pokoju wzdłuż i wszerz i targała sobie warkocze, które w nieładzie opadały jéj na ramiona. Stanęła nagle i załamując ręce zawołała:

— On dobry, najlepszy, kocha mię! ale cóż? on mię nie rozumie!

Temu kto pierwszy poddał ten wyraz najczęściéj niemający żadnego sensu, młodym rozmarzonym kobietom, życzyłabym w téj chwili, aby na wieki wiecznie pochłonięty został przez najgłębsze czeluście piekielne.

— Zeniu! mówiłam biorąc za rękę moją zrozpaczoną przyjaciołkę i usiłując ją choć trochę przyprowadzić do rozsądku; powiedz mi choć raz jeszcze co jest w tobie takiego czego twój mąż nie rozumie? Odkryj to przed nim, sprobuj, może zrozumie!

Za całą odpowiedź Zenia westchnęła i szepnęła.

— O! to życie, życie! Jak widzę szczęścia i spokoju szukać mi wypada tylko... w mogile.

To rzekłszy usiadła przed biórkiem z twarzą natchnioną, otworzyła księgę *marzeń* i wyrysowała w niéj mogiłę, na mogile grobowiec, nad grobowcem dwa cyprysy czy dwie wierzby, a u dołu napisała okrągło wyraźnie: *Zenona.*

Potem przymierzyła nową suknię, którą jéj przyniosła panna służąca, potem jeszcze wydała służbie rozkazy co do jutrzejszego obiadu na który zaprosiła wiele gości, potem rzuciła się na sofkę wydając się cała na łup najczarniejszym i zupełnie szczerym zgryzotom sumienia, nakoniec otworzyła okno i patrzyła na księżyc przy jakiem to zajęciu zostawiłam ją odchodząc do domu.

Niepamiętam już ile dni taki stan rzeczy trwał w domu Zeni, wiem tylko że położenie moje stawało się coraz trudniejsze. Byłam jedyną jéj powiernicą, widziałam że z zawiązanemi oczami biegła ku przepaści i nie miałam sposobu aby ją uratować.

Wszystkie moje przedstawienia i uwagi, otwarte nawet wypowiedzenie zdania jakie miałam o panu Lubomirze, rozwijanie nareszcie najpiękniejszych teorji moralnych i społecznych, jakie pochwyciłam jako broń ostateczną, wszystko to nakoniec taki miało skutek, że wytrzeźwiało Zenię na moment, wprawiało ją w wątpliwości, oddawało na łup zgryzotom, pogrążało w rozpaczy, aż nakoniec w obec pierwszego dojrzanego księżycowego promienia, w obec piewszego usłyszanego przez nią dźwięku muzyki, w obec słowem czegokolwiek co podrażnić mogło nerwy lub rozbudzić wyobraźnię znikało, ulatniało się i z tem większą siłą rzucało Zenię na pełne morze złudzeń, rojeń, łez, westchnień; całéj téj gorączki któréj była jednem słowem najnieszczęśliwszą ofiarą.

Komiczną stronę tego wszystkiego dostrzegam dopiero teraz, ale naówczas widziałam tylko tragiczną która zaiste, przeważała nad pierwszą dla kogoś mianowicie, kto patrzył na udręczoną a raczéj dręczącą się kobietę okiem kochającem, poważnem, bardziéj usposobionem do współcierpienia niż do śmiechu, a nadewszystko trwożnie dopatrującem końca téj historji, która jakkolwiek miała ustępy podobne do krotochwili, rozwiązać się mogła w sposób wcale dramatyczny.

Na domiar nieszczęścia, z Michałem nie mogłam się spotkać bez pewnego poczucia wstydu i wewnętrznego zmięszania.

Szanowałam tego człowieka dla istotnych zalet jakie w nim dojrzałam, obudzał on we mnie współczucie siłą i pobłażliwością uczucia, jakie miał dla Zeni a obok tego zdawało mi się, że przyjmując u żony jego rolę powiernicy i nie znajdując w sobie nic czembym mogła oddalić nieszczęście dotykające ich obojga, stawałam się winną przeciwko niemu. Zdawało mi się że oczy Michała przestały być w owéj porze blade i mętne, a nabrały dziwnéj przenikliwości, która jednak nie umniejszała dobroci tkwiącéj w ich głębi.

Wmawiałam w siebie, że ta przenikliwość z jaką zdawało mi się że patrzył teraz na otaczające go osoby, istniała tylko w mojéj rozbudzonéj wyobraźni i była tylko przywidzeniem. Potem przekonałam się, że widziałam dobrze i że oczy Michała w istocie przestały być naówczas blade, omglone i dobroduszne. Parę razy dojrzałam w nich blask niemal ponury, innym razem zdawało mi się, że miał na twarzy wyraz pełen dziwnéj jakiéjś stanowczości, sprzeczającéj się widocznie ze zwykłą miękkością jego charakteru.

Nigdy jednak nie mogłam być pewną trafności moich spostrzeżeń, bo nie śmiałam patrzyć prosto w twarz Michała, i przed spojrzeniem jego które częściéj zwracało się na twarz moją niby szukając na niéj nadziei jakiéjś lub jakichś wieści pożądanych czy strasznych, spuszczałam oczy, rumieniłam się po uszy, jak dziecko złapane na gorącym uczynku.

Położenie to do najwyższego stopnia wstrętne było memu poczuciu prawości i bolesne dla serca, które nie mogło obojętnie patrzyć na cierpienia cudze jakiebykolwiek było ich źródło. Parę razy postanawiałam sobie pod jakimkolwiek pozorem przestać widywać się z Zenią na czas jakiś, ale powstrzymywał mię zawsze skrupuł opuszczania przyjaciołki w najniebezpieczniejszéj dla niéj chwili. Poczawałam gniew głuchy myśląc, że cała ta plątanina i wszystkie te nieszczęścia były sprawą jednego głupca udającego mądrość, obłudnika pozującego za bohatera, próżniaka pracującego językiem i oczami, któremi udawał uczucia jakich nie miał, i dziwiłam się łatwowierności kobiet, które dają się łapać na podobnie pospolite wędki, a zarazem doskonale pojmowałam przyczyny téj łatwowierności, boć i sama ulegałam jéj kiedyś.

Bądź co bądź nie mogłam wytrwać dłużéj w tak krzywem położeniu w jakiem postawiła mię świadomość o smutnym stanie serca i umysłu Zeni, i postanowiłam zasięgnąć w téj mierze rady mojéj matki, choć i tu zdradzając czyjąś tajemnicę, nie miałam być zupełnie w zgodzie z samą sobą.

Najniespodzianiéj w świecie sprawa tak bardzo obchodząca mię i kłopocąca wcale inną przybrała postać. Pewnego dnia weszłam do bawialnego salonu Zeni gdzie znalazłam dość liczne zebrane towarzystwo, i z rozmowy jaką prowadzono dowiedziałam się, że pan Lubomir miał za parę dni opuścić W. i udać się do swoich majątków o kilkadziesiąt mil odległych. Na wieść tę odetchnęłam swobodniéj i zapytałam, czy Lubomir na długo odjeżdżał? Powiedziano mi, że na parę tygodni. Spojrzałam na Zenię i zobaczyłam taki wyraz przejmującego cierpienia, który mimo wysiłków jakie czyniła, aby go ukryć przed gośćmi twarz jéj okrywał, że aż mi się na płacz zebrało i musiałam prędko opuścić towarzystwo.

Tego dnia odeszłam do domu wcześnie i z Zenią nie widziałam się wcale sam na sam. Nazajutrz około południa, gdy tylko skończyłam poranne lekcje udałam się do jéj pokojów. W buduarze nie znalazłam nikogo, za to w przyległym salonie rozmawiano. Poznałam głos Zeni i Lubomira. Nie sądziłam aby byli sami, i niewidziałam potrzeby oddalić się: machinalnie więc przerzucałam księgę *marzeń* rozmyślając nad tem, czy mam wejść do salonu, czy ta czekać dopóki Zenia nie opuści swych gości. Nagle usłyszałam głos Lubomira uposażony tym razem wszystkiemi właściwemi mu odcieniami brzmień ponurych i sentymentalnych.

(d. c. n.)

KAMIENNE SERCE

POWIEŚĆ

przez

Golo-Raymunda

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Głęboko rozdrażniony powrócił chłopiec do izby szkolnéj. Wycieczka która miała być dla niego rozrywką, przyjemnością, a jego sercu dodać tego ciepła, które dla młodego życia jest tem, czem słońce dla kwiatu, zostawiła po sobie bardzo przykre wrażenie. I znowu mijały lata smutnego, monotonnego życia, lata, w ciągu których znowu żadna żywa dusza nie spytała o niego. Gdy doszedł lat szesnastu, potrzeba było obrać sobie przyszły zawód. Bez namysłu postanowił poświęcić się technologji. O pani Sybilli nic nie wiedział, ani jéj nie widział, pozwolenie jednak na oddanie się obranemu zawodowi udzieliła własnoręcznem pismem.

Przełożony istytutu, pełen życzliwości dla niego radził mu, aby przed udaniem się do szkoły technicznéj, do któréj dla dalszego wykształcenia się miał uczęszczać, napisał list do pani Sybilli z prośbą o pozwolenie osobistego podziękowania jéj za odbierane dotąd dobrodziejstwa. Ryszard uczynił to, chociaż nie bez wzdrygnienia, bo obojętność opiekunki z pewnym nawet niewytłomaczonym wstrętem połączona, nie mogła go do niéj przywiązać. Lękał się jéj ale nie kochał, miał dla niéj postawę pełną uszanowania, ale w sercu ani odrobiny życzliwości. Odpowiedzi długo nie było widać, nareszcie nadeszła, ale napisana przez miejscowego proboszcza, który mu doniósł, że pani Sybilla w skutku ostatniego straszuego ciosu, doznała takiego wstrząśnienia na umyśle, że nie jest zdolna myśléć o niczem co nie dotyczy smutnego jéj losu, nie byłaby więc w stanie zrozumiéć jego listu, a tem mniéj przyjąć jego odwiedzin.

Bóg zabrał i ostatnie dziecko nieszczęśliwéj kobiety, ostatniego z trzech synów których uważała niegdyś jako filary swego szczęścia. I jego śmierć wydarła jak tamtych, w kwiecie wieku, w pełni siły i zdrowia, w chwili gdy miał urzeczywistnić życzenia i nadzieje matki. We własnéj fabryce wpadł pod koło maszyny, które z chciwością tygrysa pochwyciło natychmiast swoją ofiarę, a chociaż go w téjże chwili wyciągnięto, umarł w parę godzin w skutek odniesionych skaleczeń.

Kilka miesięcy stan nieszczęśliwéj matki graniczył prawie z szaleństwem; żyła tylko w zmarłych utraconych na zawsze synach. Fabryka na mocy testamentu starego pana Steinlacha przechodziła na nowego właściciela, jego dalekiego kuzyna. Z tego powodu potrzeba było załatwić rozmaite sprawy, o których pani Sybilla nawet myśléć nie mogła. Przydany jéj kurator załatwił i uporządkował wszystko uczciwie, sumiennie, nawet wypłacał tymczasowo pieniądze na utrzymanie Ryszarda, który z takiem powodzeniem i taką gorliwością oddawał się naukom, że nawet tak dumne serce macierzyńskie, jak Sybilli, powinno było czuć się zadowolonem, gdyby w ogóle mogła być mowa o takiem sercu dla opuszczonego.

Po długim przeciągu czasu, pani Steinlach zaczęła wreszcie pojmować swoje położenie, ale nie z cichą uległością i pokorą, lecz wśród ciągłych wybuchów rozpaczy, przyczem odezwała się w niéj granicząca prawie z nienawiścią niechęć względem nowego, szczęśliwego właściciela fabryki, który posiadł dziedzictwo jéj synów i rządził niem o nic się nie troszcząc, jakby się był urodził panem téj posiadłości. Głęboka boleść jéj serca, która zresztą ani na chwilę nie przycichła, powiększyła się jeszcze za przybyciem pana Ferdynanda Steinlach i jego wesołéj małżonki, używających z ufnością i bez obawy szczęścia, którem ich obdarzył przypadek. Z téj boleści rozdartego serca dalekiéj od wszelkich popędów pojednawczych, wyrobiła się egoistyczna gorycz, z któréj znowu zrodziło się fałszywe przekonanie, że nowy właściciel nieprawnie odziedziczył fabrykę. Ponieważ nikt w niéj tego przekonania nie sprostował, nikt jéj o jego mylności nie przekonał, doszło zwolna do tego, że pewnego dnia Sybilla zagroziła nawet wytoczeniem procesu o nieprawne posiadanie.

Najbliższym jéj sercu był teraz Ryszard, biedny chłopiec, samotny i nielubiony jak ona, niedawno patrzący tylko z daleka na dowody miłości, którą obdarzała synów swoich a jakiéj nigdy sam nie doświadczał. Ryszard był niejako jéj dziełem: nie wydała go na świat jak tamtych, co spali pod grobowcem z białego marmuru, ale ona była mu wszystkiem i jej starania jedynie i miłosierdzie go utrzymywały. Wzrósł w chłodnym cieniu dopełnionego przez nią obowiązku, jak tamci wzrastali w blasku słonecznym jéj miłości, że jednak zależał od jéj woli, że go niejako za swoją własność uważać mogła, uznała więc że on a nie kto inny powinien był zostać dziedzicem tego, co zostawiły jéj dzieci.

W dwa lata po ostatniéj smutnéj katastrofie Sybilla napisała do Ryszarda list, w którym jasno i bez ogródki doniosła mu, że postanowiła formalnie go adoptować, aby na téj podstawie przeprowadzić z kuzynem proces o nieprawne posiadanie fabryki. Uważała to jako jedyne zadanie które jéj jeszcze spełnić pozostało, i zmierzała do tego celu z całą gwałtownością, tak właściwą jéj charakterowi.

Osobliwszy ton wiał z jéj słów: wyrażały one głównie namiętność głęboko wzburzoną i jakoby troskliwość macierzyńską, któréj jednak niedostawało błogiego ciepła jakiem cała tak szczodrze jest przejęta. Ryszard też łatwo przekonał się, że postanowieniem tem kierowała zazdrość i jedynie chęć odebrania drugim własności, i dla tego uczucie wdzięczności w nim się nie odezwało.

Dawniéj, jedno słówko byłoby wystarczyło, aby pociągnąć serce jego młode potrzebujące miłości, jedno spojrzenie, pieszczota mogła go uszczęśliwić. Ale lata dziecinne w samotności spędzone, z gorzkiem wspomnieniem sieroctwa, już przeszły. Charakter jego ustalił się, umysł dojrzał, serce spotężniało nawet bez podpory miłości. Smutny jéj los budził jego współczucie, był jéj wdzięcznym, że dotrzymała co przyrzekł zmarły jéj szwagier, ale nie mógł dać miłości tam, gdzie jéj nigdy nie znalazł, i za wszystkie skarby świata nie byłby przyjął z jéj rąk nic, coby mu na mocy postanowienia starego pana Steinlach nie było zapewnionem. Odrzucił więc stanowczo jéj propozycję, oświadczył jéj z należnem uszanowaniem, ale bez ogródki, że nie może zaciągać większego długu wdzięczności, chociażby nawet prawo, o czem wątpił, poparło jéj łaskawe zamiary.

Pani Steinlach zmartwiła się i rozgniewała znalazłszy przeszkodę i to z téj strony, w jakiéj się zupełnie tego niespodziewała. Ale właśnie ta duma i energja, którą jako kobieta silnéj woli ocenić umiała, zamieniły jéj życzenie w namiętną pożądliwość. Po wielu latach przyszło nareszcie Ryszardowi stawić się przed nią, aby się usprawiedliwić i jak się łudziła, stać się bezwarunkowo posłusznym. Dziwne to było spotkanie.

Ona, stara, opuszczona, złamana, ogołocona z tego wszystkiego co stanowi bogactwo serca, on—doskonale rozwinięty, w kwiecie młodości, wprawdzie samotny, ale mający przed sobą życie pełne nadziei i uroku.

Głęboką uczuł litość, gdy spojrzał na jéj włos biały, na jéj oczy wypłakane i pomyślał o owéj dumnéj, zaufanéj w sobie kobiecie, jaką była niegdyś. Pozostał jednak niewzruszonym w swojem postanowieniu, nie czując bowiem do niéj najmniejszego pociągu, nie chciał się nazywać jéj synem, ani zostać spadkobiercą zmuszonym do dozgonnéj wdzięczności.

Pani Steinlach uczuła to niewymownie: niegdyś tak surowa, teraz stała się opryskliwą a gorycz i boleść, nie pozwalająca jéj znosić widoku osób szczęśliwych, ani nawet obchodzić się z nimi uprzejmie, była powodem iż się coraz bardziéj odosobniała. Tylko Ryszarda jak wyłączała dawniéj ze swojéj miłości, tak teraz ze swojéj nienawiści ku ludziom. Patrzyła na niego równie nieśmiało, jak niegdyś patrzył na nią bojaźliwy, blady chłopczyna żebrząc o słowa miłości. A przecież nie był tak niewzruszonym jak ona, usiłował przynajmniéj zgadywać jéj życzenia, skracać jéj godziny, pojednać ją ze światem, tylko miłości nie mógł jéj okazywać.

A co najbardziéj bolało nieszczęśliwą kobietę, to że lepiéj mu było u tych, których nienawidziła niż u niéj. Młody właściciel fabryki był człowiekiem wesołym, lekkomyślnym, ale poczciwym i gościnnym bez granic. On pierwszy powitał Ryszarda serdecznie i ze szczerą uprzejmością. Ferdynand Steinlach i jego żona uważali go jak członka rodziny, a Ryszard wdzięczne serce mający, nie zapomniał nigdy jak błogiem uczuciem bo prawie uczuciem życia rodzinnego, natchnęło go to przyjęcie. Nie zapomniał o tem nawet wtedy, gdy miał słuszne przyczyny ganić państwa Steinlachów.

Może czuli się obowiązanymi Ryszardowi, że niechciał targnąć się na dziedzictwo pana Steinlach, nie tylko dla tego, że to byłoby bezprawiem, ale nadto przez szlachetną bezinteresowność. Bądź co bądź, usiłowali uprzyjemnić życie młodemu człowiekowi podczas pobytu w Bonrath, a pan Steinlach wspomniał nawet, że gdy skończy studja, będzie mógł ofiarować mu odpowiednie miejsce w fabryce.

Ryszard więc odjechał znowu, nie spełniwszy życzeń pani Sybilli, do Belgji i Anglji, aby się w zawodzie obranym wydoskonalić, a nieszczęśliwéj kobiecie płynęły lata w samotności, tak samo, jak niegdyś cichemu dziecku na ławkach szkolnych.

Ryszard jednak nie zapomniał obietnicy pana Steinlacha o umieszczeniu go kiedyś w fabryce. Serce jego gorące a wdzięczne uważało Bonrath jako miejsce rodzinne, bo tam po raz pierwszy powitano serdecznie wędrownika bez ojczyzny. Wykształciwszy się więc należycie, ośmielił się ofiarować właścicielowi fabryki swoje usługi.

Życzenie jego zbyt odpowiadało wielu osobom, aby mogło być odrzuconem. Pani Sybilla, która nie opuściła swojéj wdowiéj siedziby i grobów swoich dzieci, widziała w tem jedyną możność utrzymania stosunku z Ryszardem, który dawno jéj pomocy nie potrzebował i świadczenia mu dobrze nawet przeciwko jego woli. Właściciel fabryki więcéj marnotrawny i lekkomyślny niż zabiegliwy, widział w Ryszardzie właśnie człowieka, który roztropnym zarządem fabryki mógł wyrównać niezmiernym wydatkom a Ryszard nakoniec, oprócz odpowiedniego za-

jęcia, znajdował zaszczytne i niezawisłe stanowisko, o jakiem dotąd zaledwie marzyć się ośmielał.

Los jego byłby więc przybrał najprzyjemniejszą postać, gdyby mu nie zatruwały życia tysiączne drobne przykrości, których źródłem było dziwne do niego przywiązanie pani Sybilli, jakie się w niéj nagle rozbudziło. Każdą oznakę uprzejmości, wszelką grzeczność jakiéj doświadczył kiedykolwiek od właściciela fabryki i jego żony, uważała jako targnięcie się na jéj własne prawa. Zazdrosna o wszystko co dotyczyło Ryszarda często z rozpaczą opuszczała ręce, widząc że nie może pozyskać jego przywiązania i zaufania,jakich zdobycie tak łatwo innym przyszło. Lecz rozpacz ta była tylko chwilową, uspakajała się wprędce jakby wzmagała się w nowe siły i z żelazną wytrwałością zabierała się na nowo do dzieła, podwajając nienawiść ku krewnym,którzy jak mniemała, jedynym byli powodem obojętności dla niéj Ryszarda. Pani Sybilla żyła więc w pawilonie który zamieszkiwała, tak samotnie jak gdyby ją przestrzeń wielu mil oddzielała od krewnych. Czas swój i myśli dzieliła pomiędzy groby swoich synów i życie Ryszarda, trawiła ją nieuciszona niczem tęsknota, a gdy z jednéj strony jakby przekleństwo zdawało się ciążyć na jéj życiu odbierając jéj wszystko co ukochała; tak z drugiéj strony mienie bezdzietnéj matki, jakby na szyderstwo, wzrastało z dniem każdym. Chociaż musiała odstąpić fabrykę i napełnione towarem magazyny, pozostały jéj przecież znaczne kapitały, zebrane dla dzieci, a nadto nowy właściciel fabryki wypłacał jéj ubezpieczoną na zakładzie znaczną rentę roczną. Sybilla żyjąc samotnie i mając wolne pomieszkanie w fabryce, wydawała zaledwie czwartą część swoich dochodów, resztę składała lub od czasu używała na spekulacje które się zawsze szczęśliwie udawały. Nieraz też łamano sobie głowę, kto też będzie jéj dziedzicem, wiedziano bowiem że Ryszard nie chciał, a pan Steinlach nie miał nim zostać.

Pani Sybilla nieraz otwarcie o tem mówiła, jeżeli ją w tym względzie zagadał proboszcz, jedyny człowiek który miał do niéj przystęp niczem nieograniczony. Opowiadała wówczas, że nie myśli wspierać marnotrawcy, aby mógł próżnować i popełniać nowe niedorzeczności, lecz pragnie lepiéj użyć darów Opatrzności. W pewnym względzie miała słuszność, bo zbytek w fabryce wzrastał z dniem każdym i znacznie przewyższał dochody. Pan Steinlach sądził, że przyjmując doświadczonego i sumiennego dyrektora, dopełnia najzupełniéj wszystkich swoich obowiązków i w najwyższym stopniu zaniedbał się co do załatwiania stosunków kupieckich, a na czem Ryszard nie znał się wcale, lub bardzo mało. Nie było żadnego dozoru, od niepamiętnych czasów nie robiono rocznego bilansu, lekkomyślni niedoświadczeni komisanci zaniedbywali korespondencje i dyspozycje, a w skutek tego najlepsze urządzenia Ryszarda, największa we wszytkiem oszczędność, wszystko to nie mogło naprawić tego, co popsuto przez niedbalstwo i marnotrawstwo w gospodarstwie domowem. Ryszard sam powstawał przeciwko tym nadużyciom,nakłaniał pana Steinlach do zaprowadzenia porządku, a jego żonę do ograniczenia wydatków, ale przynajmniéj pani domu, zimno i dumnie odrzuciła jego przedstawienia, co go boleśnie dotknęło.

Georginia Steinlach, żona właściciela fabryki, osoba piękna, lubiąca rozrywki, kochała serdecznie swojego męża, ale nie zwykła upodobań swoich poświęcić dla wspólnego dobra. Okoliczność jednak iż nie umiała zastosować się do położenia nie była skutkiem jéj uporu, ile raczéj słabości męża, który u przedał wszystkie jéj życzenia i pozwalał na wszystkie zachcenia. Te zaś jéj zachcenia nie tylko narażały go na wielkie wydatki, ale nadto zabierały mu czas, bo młoda pani uważała za najwyższy zaszczyt i zadowolenie, gdy mogła dorównać okolicznéj szlachcie lub ją przewyższyć. Była to jéj główna słabość, któréj ulegając chciała prowadzić dom na odpowiedniéj stopie i wznieciła w mężu swoim skłonności i potrzeby, które mu, jako kupcowi były niegdyś obce.

W braku dóbr pan Steinlach dzierżawił polowanie, sprasza! młodzież i trzymał konie wierzchowe i cugowe jakich nie było w okolicy.Dom pana Steinlach stał się wkrótce sławnym z przepychu pod względem służby i urządzenia, w czem Georginia starała się często aż do śmieszności naśladować pałace magnatów. Przebolawszy z wytrwałością wiele upokorzeń, zdołała nareszcie pozawiązywać stosunki z okolicznem znakomitszem sąsiedztwem. Wyprawiała więc uczty, świadczyła przysługi wszelkiego rodzaju, szczęśliwa jeżeli za to wszystko przynajmniéj we własnym domu okazywano jéj pewne względy.

Życie to hałaśliwe dla nikogo nie było tak dotkliwem jak dla jedynego dziecięcia rodziny, małego wątłego dziewczątka, które tak bardzo potrzebowało czułéj miłości matki i jéj bacznego oka. Lubiąc we wszystkiem zbytek, Georginia dawała wprawdzie dziecku tysiące niepożytecznych a kosztownych zabawek, w nadmiarze rozczulenia przyciskała ją nieraz do serca, ale szczególnych starań nigdy jéj nie poświęciła. Dała jednak dziecku guwernantkę, ale téj zadaniem głównem było starać się, aby ruchy małéj dziewczynki były zgrabne i aby nabierała postawy pełnéj dystynkcji. tak ujmującéj i koniecznéj w panienkach arystokratycznego rodu. Łatwo pojąć, że przy takiem wychowaniu Malwinka bardzo łatwo mogła stać się fizycznie słabą a umysłowo tępą gdyby nie ta okoliczność, że guwernantka lubiła odrywać się od nudnych swoich obowiązków, aby za przykładem pani domu szukać przyjemności po za obrębem dziecinnego pokoju.

Wówczas Malwinka była zostawiona sama sobie, pogrążona w rozmyślaniu dziecinnem, zajęta samotną zabawą i błąkała się po całym domu i ogrodzie, szukając gdzie i przy kim najlepiéj byłoby dla niéj pozostać. Czuła z natury i potrzebująca miłości, jeżeli zabłądziła aż do Sybilli, nadaremnie łamała sobie główkę nad zbadaniem przyczyny jéj ponurego smutku. Gdy zaś Sybilla obchodziła się z nią zawsze tak jakby się na nią gniewała, biedne dziecko usiłowało przejednać ją mnóstwem drobnych a tak ujmujących dowodów miłości. Pani Steinlach przeniosła wstręt swój dla rodziny nawet na dziecko i odpychała je ile razy zbliżyło się do niéj. Malwinka wówczas uciekała zwykle do Ryszarda, który także żył w odosobnieniu i mało się udzielał, będąc po części bardzo zatrudnionym, po części niezgadzając się z sposobem życia, jakie w całem jego otoczeniu powoli zapanowało. Nie gniewał się wcale gdy dziecko przyniosło lalkę do jego pokoju, lub gdy usiadłszy w kątku czytało głośno jaką zajmującą powiastkę. Nie przeszkadzało mu, chociaż ile razy na nią spojrzał, spotykał się zawsze z jéj ciemnemi oczyma i rumianą buzią uśmiechniętą do niego radośnie. Była pięknem i zajmującem dzieckiem, pokochał ją też niezmiernie, a chociaż otoczona bogactwem zdawała mu się być tak samo prawie jak on niegdyś opuszczoną. Był więc dla niéj tem cierpliwszym i wyrozumialszym, a ona za to szczególniéj się do niego przywiązywała.

— Kogo najbardziéj kochasz Ryszardzie? pytała go [illegible] niego i kładąc głowę na jego kolanach.

— Ciebie, odpow[illegible]em, bo mając cię blisko i patrząc w twoje oczki, kogóż mógłbym innego ukochać?

Tak mijał rok po roku. Ryszard był już w wieku, w którym zwykle zaczyna się u mężczyzn odzywać pragnienie własnego ogniska i rodziny, ale jemu to pragnienie było nieznane, bo nie spotkał jeszcze nigdy dziewicy, którejby mógł całem sercem powiedzieć, chodź i bądź mi towarzyszką życia aż do grobu.

Największe z pomiędzy dóbr okolicznych, nie były wcale zamieszkałe, czyli raczéj mieszkali w nich tylko rządcy. Było to jedną z tajnych zgryzot Georginii, bo sąsiedztwo rządcy nie miało dla niéj najmniejszego powabu. Zamek Amstetten stał pustką od śmierci przedostatniego właściciela, to jest od czasu jak fabryka stała się własnością Steinlachów. Dziedzic mieszkał w mieście, nie odwiedzał nigdy swojéj pięknéj posiadłości a po jego śmierci, pozostała z dwoma synami wdowa, przepędzała lato w innym pomniejszym majątku, jako położonym w pobliżu rezydencji. Z tego powodu przynajmniéj w fabryce bardzo mało, albo nic nie wiedziano o rodzinie hrabiów Amstetten, którzy przeszło od lat trzydziestu nie pojawiali się w téj okolicy. Z ciekawością więc a Georginia nawet z tajemnem biciem serca, oczekiwała przybycia teraźniejszego dziedzica, który wraz z matką swoją miał zamieszkać stale w zamku Amstetten.

Hrabina, mająca jeszcze drugiego młodszego syna, urządziwszy się na nowem mieszkaniu, porobiła zwykłe wizyty w sąsiedztwie, przyczem nie pominęła fabryki, co pani Georginii sprawiło radość bez granic. Hrabina była bardzo miłą, pełną otwartości osobą, wprawdzie nie całkiem bez pewnéj charakterystycznéj dumy, lecz ta nie pozbawiała ją kobiecéj łagodności i słodyczy. Natomiast właścicielka fabryki przyjmowała i dawała ze swéj strony oznakę uprzejmości, bez względu na swoją osobistą godność i w skutek czego ściślejszy stosunek pomiędzy dwoma temi sąsiadkami stał się niemożebnym. Niezmierny przepych, kosztowne urządzenie domu i suto zastawiony stół, wszystko to mogło znakomitym gościom kazać zapomnieć, że nie są u siebie, jednakowoż przypominała im to pani domu nieustannie swojem uniżaniem się, które przynajmniéj hrabinę Amstetten niemile dotykało.

Za to szczególnie polubiła Ryszarda z macierzyńską niemal życzliwością, co pani Sybilli dało powód do nowéj tajemnéj obawy. Syn jéj, właściciel Amstetten, był tylko o trzy lata młodszy od Ryszarda, i miał z nim pod względem duchowym wiele podobieństwa, wyjąwszy iż był o tyle wesołym, o ile tamten statecznym, milczącym, co mu z czasów smutnego dzieciństwa pozostało. Paweł Amstetten potrafił ocenić w Ryszardzie skarb rozległéj wiedzy i wykształcenia, a jeszcze bardziéj jego szlachetne serce. Poczciwe i bez zazdrości uznanie tych zalet, zgodność w zasadach, wszystko to sprawiało, że pomimo powierzchownéj różnicy, zawiązała się wkrótce pomiędzy nimi trwała i szczera przyjaźń, która Ryszardowi pozwoliła wprawdzie nie zapomnieć, ale przeboleć utratę dziecka, które dawniéj samo jedno dawało mu miłość i sprawiało rozrywkę.

Przyjaźń pomiędzy Ryszardem a Pawłem Amstetten stała się wkrótce dla pani Sybilli źródłem nowych udręczeń. Ponieważ zazdrość jéj wcale się nie zmniejszała, każdy uśmiech, który rozjaśniał poważne rysy Ryszarda, każde słowo weselsze, któ-

re z ust jego wyszło, dręczylo ją i raniło. Niewypowiedzianą sprawiało jéj to boleść, że nie mogła wywołać tego słowa i tego uśmiechu. On sam mimo woli i wiedzy coraz głębiéj zaciskał cierń w jéj serce, mówił bowiem o hrabinie z całą otwartością jak o przyjaciołce, przed którą z całem zaufaniem serce swoje otwierał, podczas gdy pani Sybilla nadaremnie usiłowała odgadnąć jego najskrytsze życzenia i uszczęśliwić go pomimo jego woli. Hrabina przytem miała dzieci, *synów*, którzy zadawalniali jéj dumę macierzyńską, czemuż więc jéj, opuszczonéj kobiecie odbierała jałmużnę miłości obcego? W szczególniejszy sposób i zawsze z jakąś trwogą zajmowała się pani Sybilla Ryszardem, i widocznie dotyczyło to bardziéj jego zewnętrznego losu, niż wewnętrznéj jego szczęśliwości. Ścigało ją to uczucie aż do grobów jéj dzieci i wylewała łzy tak nad żywym, jak nad umarłymi. Wiedziała aż nadto dobrze, że fabryka zwolna ale niezawodnie chyli się do upadku, że teraźniejszy właściciel nie będzie mógł długo jéj utrzymać. Pan Steinlach nie był bowiem milionerem za jakiego go miano. Byłby może nim został przy mądrem ograniczeniu wydatków i uregulowaniu swoich czynności, lecz przeciwnie, wielkie kapitały odciągano z przedsiębierstwa i obracano na podróże zagranicę, odbywane z książęcym przepychem, na zbytki w gospodarstwie, na grę, bo pan Steinlach grywał i przegrywał wiele co naturalnie sprawiało dotkliwą w interesach stagnację. Musiano więc zaciągać długi z czasem kredyt chwiać się zaczął, a pani Sybilla odmawiała stanowczo wszelkiéj pomocy.

Ryszard upominał i przedstawiał zwłaszcza odkąd względy jakich u Amstettenów doznawał, przydały mu znaczenia w oczach właścicielki fabryki, ale pan Steinlach ile razy ujrzał łzy w oczach swojéj żony, ustępował jéj we wszystkiem, liczył zawsze na pomyślne obroty i nie widział innego ratunku, jak zniżać coraz bardziéj zapłatę robotnikom. Ryszard zawsze stanowczo temu się sprzeciwiał, w skutek czego właściciel fabryki spuszczający się we wszystkiem na swego dyrektora, nawet w razie potrzeby starania się o nowe kapitały, częstokroć odstępował od swego zamiaru. Wprawdzie zabierano się niekiedy do ograniczenia wydatków, ale nigdy z silnem postanowieniem, i za każdą nową a świetną znajomością wracano na dawną drogę.

Pani Sybilla przewidywała więc zbliżający się koniec, przewidywała, że będzie musiała rozłączyć się z Ryszardem. Nie można było odgadnąć co w takim razie stanie się z fabryką, czy nowy właściciel będzie potrzebował Ryszarda i czy ten zechce zostać. Dla tego niespokojnie patrzyła w przyszłość. Wiedziała, że jeśli się Ryszard oddali, utraci go nazawsze.

Tysiące planów i projektów krzyżowały się w jéj głowie, jakby zapewnić mu posiadanie fabryki bez obrażenia jego delikatności i prawości uczuć, żaden z nich jednak nie obiecywał powodzenia. Chociażby przy oszczędności i z pomocą spekulacji zebrała takie fundusze, aby w razie licytacji kupić fabrykę, a tem samem przyjść prawnie w jéj posiadanie, to Ryszard nie przyjąłby nigdy takiego od niéj podarunku. Od czasów dzieciństwa nawykł już uważać wszystko co się mogło nazywać podarunkiem, dobrodziejstwem, jako coś poniżającego, i duma męzka nie pozwoliłaby mu przyjmować takowych. Tylko miłość, gorąca, pełna poświęcenia mogłaby się ośmielić podać mu dar, bez obrażenia go, owa miłość któréj podlegają wszystkie serca zarówno dumne jak pokorne. Pani Sybilla wiedziała o tem, jako rozsądna kobieta. Gdyby się ożenił bogato, myślała sobie, nie wahałby się nabyć dla żony za jéj kapitał tę piękną posiadłość. Pani Sibilla chwyciła się téj myśli, rozwijała ją stopniowo i oparła na niéj wszystkie swoje nadzieje. Ale chociaż długo szukała w sąsiedztwie nie mogła znaleść żadnéj, któraby była zdolną urzeczywistnić jéj plany, bo te które znała pięknemi dziewczętami, były już matkami i żonami. Wszakże to już tyle lat minęło jak pani Sybilla w pośród żałoby zapomniała o świecie. Patrząc w około siebie, widziała nowe pokolenie, obce twarze, obce postacie i staruszka nie mogła sobie dać rady.

Ale przecież znalazła czego szukała. Pewnego poranku przed jéj samotnem niegościnnem mieszkaniem zatrzymał się powóz podróżny, i wyskoczyła z niego piękna hoża jak wiosna dziewczyna, nie myśląc zapewne jak cichy i smutny świat ukrywały te gęsto zasłonięte okna, w które tak ciekawie spoglądała. Tą piękną dziewczyną była Gertruda Eich, córka dalekiéj krewnéj i przyjaciołki pani Sybilli, któréj ta ofiarowała przy sobie miejsce, jak mówią do towarzystwa. Matka zgodziła się z wdzięcznością, córka z radością, bo matka była uboga, obarczona liczną rodziną, a córka mogła przyrzeczoną sobie płacą dość znaczną, przychodzić jéj z pomocą.

Przyjęcie jakiego doznała u pani Sybilli zanadto było zimne i obojętno badawcze, aby mogło pozbawić młodą dziewczynę nieśmiałości i zakłopotania w jakie wprawił ją widok niezwykłéj kobiety. Nieśmiałość ta już jéj nie opuściła, bo pani Steinlach przy wiecznéj swojéj ponurości okazywała zawsze egoizm, tak w kochaniu, jak w boleści i nie pozwalała jéj własnego serca otworzyć. Nie taiła przed Gertrudą, że tylko przez wzgląd na rozkwitającą córkę przypomniała sobie o jéj biednéj matce. Powiedziała więc jéj otwarcie, że dla niéj przeznaczy cały swój majątek pod warunkiem, aby pozyskała miłość Ryszarda.

Młode dziewczę zrozumiało ją dostatecznie, ale właśnie ten pełen trzeźwości i wyrachowania komentarz, rozwiał ową woń uroku w jakim miłość żyć musi. Patrzyła na Ryszarda jako na człowieka, którego miała podbić dla korzyści materjalnéj; pani Sybilla zniszczyła owoc nim dojrzał.

Co się tyczy Ryszarda nie był on całkiem obojętnym na wdzięki Gertrudy, podobała mu się nawet najwięcéj ze wszystkich młodych dziewcząt, które znał, a jéj zawisłość, i to jeszcze zawisłość od pani Sybilli wzbudzała w wysokim stopniu jego współczucie. Zbliżał się do niéj coraz więcéj, cieszyło go że może być jéj obrońcą i towarzyszem, pojmował jéj tęsknotę za rodziną, pocieszał ją, a ona przyjmowała to wszystko z uczuciem i wdzięcznością. Jeżeli, co zresztą rzadko się zdarzało, marzył o swojem własnem ognisku, zawsze Gertruda figurowała tam jako gospodyni, przyjaciołka, towarzyszka. Ale w tym obrazie nie brakowało też nigdy i Malwiny, z głową opartą na jego ramieniu i pytającą dziecinnie: kogo kochasz najbardziéj na świecie? a on jéj odpowiadał: ciebie Malwino.

Chociaż Ryszard tak często myślał o Malwinie, jednak w sercu jego żyła ona zawsze jako dziecko i nigdy nie przyszło mu na myśl że i jéj lata mijają.

Plany te i marzenia poruszające duszą Ryszarda, nie uszły bystrego oka pani Sybilli. Niby z poczucia obowiązku odwiedzał on staruszkę codziennie, ale odwiedziny te były krótkie i wymierzone, a zajęcie się jego Gertrudą nawet ich o kwadrans nie przedłużało. Pani Sybilla postanowiła więc, chociaż z tajemnym wstrętem, pozwolić Gertrudzie bywać w domu właściciela fabryki, aby tym sposobem nastręczyć Ryszardowi sposobność częstszego i swobodniejszego widywania się z Gertrudą, czuła bowiem że ich schadzki w jéj pomieszkaniu, nie prowadzą do rozbudzenia głębszych uczuć. Ale przy całéj roztropności albo nie pomyślała, że Gertruda będzie tam spotykała wielu innych mężczyzn, albo nie przypuszczała, że kto inny może się jéj bardziéj niż Ryszard podobać. Pierwszym obcym, którego Gertruda tam spotkała, zaraz pierwszego dnia, był hrabia Amstetten, a spotkanie to, wywarło wpływ przeważny na całe jéj życie.

Paweł Amstetten był pod wielu względami podobnym do Ryszarda, ale zasady jego i zdania przedstawiały się w udatniejszéj formie i zapatrywanie się jego na świat było nie tak ponure. Przed oczyma młodéj, niedoświadczonéj dziewczyny roztaczał o wiele świetniejsze obrazy życia, niż poważny Ryszard, który tyle cienia znalazł na swojéj drodze. W Gertrudzie przeważała prostota, owoż eleganckie formy hrabiego, zręczność z jaką zachęcał ją do mówienia, jéj drobne usterki zasłaniał i prawie bez żadnego z jéj strony udziału stawiał ją w najjaśniejszem i najkorzystniejszem świetle, wszystko to przejmowało ją wdzięcznością i podziwieniem. a zarazem uczuwała naturalnym instynktem, że ten zewnętrzny polor nie uwłacza wartości i gruntowności wewnętrznéj jego istoty.

A on? On był zachwycony jéj ujmującą prostotą, jéj dziecinną radością i naiwnem zdumieniem, jakie, będąc dzieckiem wiejskiem, w biedzie i troskach wychowanem, okazywała na widok wszystkiego co było dla niéj nowem i pięknem. Wzruszał się jéj skromnością, jéj dobrem sercem, wolnem od wszelkiéj, choćby najdrobniejszéj zazdrości, jéj wdzięcznością, z jaką przyjmowała wszelką oznakę dobroci. Sprawiało mu to niewypowiedzianą radość, że z największą łatwością, w pośród zabawy, mógł ozdabiać i kształcić pojętny jéj umysł, i w młodem jéj sercu rozdmuchiwać iskierki budzącéj się namiętności, które potem jasnym blaskiem oświeciły własny jego obraz, ukryty bezwiednie w głębi tego czystego serca, któremu silniejsze poruszenia były dotąd nieznane.

Ryszard nie dostrzegł wcale téj budzącéj się miłości; był on jeszcze bardziéj niedoświadczonym niż inni.

W tym czasie państwo Steinlach wybrali się do Szwajcarji, aby przywieść córkę z pensji, na któréj już lat cztery przepędziła. W fabryce było ciszéj jak zwykle, brakowało punktu środkowego, duszy ożywiającéj całość. Oddawna uśpiona, odezwała się znowu w Ryszardzie próżnią zapewne wywołana, myśl o własnym domowym zakącie, gdy po całodziennéj uciążliwéj pracy przechadzał się po samotnych alejach parku. Opodal mignęła jasna sukienka i zdradziła obecność Gertrudy, a obraz jéj wszedł mimowoli w tło marzeń, którémi się orzeźwiał, nie w namiętnym zachwycie miłości, lecz ze spokojną radością rozsądnego postanowienia. Szedł więc powoli ku niéj, i chciał korzystać z chwili, aby jéj zadać pytanie, które miało rozstrzygnąć o jego losie, o przyszłości ich obojga.

(d. c. n.)

ZACISZE

POWIEŚĆ S. J. TURGENIEWA

tłomaczona z rossyjskiego.

(Dalszy ciąg)

V.

Gabriel Stepanicz Akilin, u którego miał być bal, należał do rzędu obywateli obudzających podziwienie w swych sąsiadach, sztuką życia dobrego i prowadzenia otwartego domu przy środkach wcale niewielkich.

Posiadając majątek niewiększy jak na 400 dusz włościańskich, przyjmował całą gubernję w obszernym, wymurowanym przez siebie pałacu, z kolumnadą i wieżą z powiewającą na niéj flagą. Dobra te, które odziedziczył po ojcu, nigdy nieodznaczały się dobrem zagospodarowaniem. Gabriel Stepanicz długo był tu nieobecny, pozostawał na urzędzie w Petersburgu; skoro powrócił w rodzinne strony, przed laty piętnastu, z rangą asesora kollegjalnego z żoną i trzema córkami, natychmiast zajął się budowaniem, urządził orkiestrę i zaczął dawać obiady. Z początku wszyscy wróżyli mu niewątpliwe i rychłe bankructwo; nieraz chodziły pogłoski że dobra Gabriela Stepanicza mają być sprzedane przez licytację, upływały jednak lata, obiady, bale, fety, koncerta następowały jedne po drugich zwykłą koleją, a dóbr Akilina przez licytację nie sprzedano, i żył sobie po dawnemu, a nawet przytył w ostatnich czasach. Nateuczas domysły sąsiadów zwróciły się w inną stronę. Zaczęto napomykać o jakichś znacznych, jakoby ukrytych sumach, mówiono o znalezionym skarbie....

— Żeby to on był przynajmniéj dobrym gospodarzem — rozprawiała między sobą szlachta lecz i to nie! To rzecz dziwna i niepojęta.

Jakkolwiek bądź wszyscy przyjeżdżali do Gabriela Stepanicza chętnie, a on przyjmował gościnnie i grał w karty po jakiéj kto żądał cenie. Był to maleńki siwy człeczek, ze spiczastą główką, żółtą twarzą i żółtemi oczami, zawsze starannie wygolony i uperfumowany. W dnie powszednie i święta nosił obszerny granatowy frak, wielki krawat, z którym miał zwyczaj chować swój podbródek, i odznaczał się zawsze swieżością bielizny; mrużył także oczy i wyciągał usta, kiedy zażywał tabakę i mówił zawsze grzecznie i miękko. Na oko, Gabriel Stepanicz nie odznaczał się śmiałością charakteru i w ogólności powierzchowność za nim nie przemawiała. Nie wyglądał też na rozumnego, chociaż niekiedy w oczach jego przebijała chytrość. Dwie starsze córki wydał korzystnie za mąż, a młodsza pozostawała jeszcze panną w domu. Miał także Gabriel Stepanicz i żonę; istotę nic nieznaczącą i nic nie mówiącą.

Astachof o siódméj wieczorem przybył do Ipatówki we fraku i białych rękawiczkach. Zastał już wszystkich gotowych do wyjazdu; dziewczynki siedziały spokojnie z obawy żeby nie zmiąć swych białych wykrochmalonych sukienek. Stary Ipatof zobaczywszy Astachowa we fraku grzecznie strofował go o to wskazując na swój surdut. Na Marji była ciemno różowa jedwabna suknia, w któréj było jéj bardzo do twarzy.

Włodzimierz Astachof powiedział jéj kilka grzecznych słów. Piękność Marji pociągała go, chociaż ona widocznie od niego stroniła, Nadzieja Aleksiejewna także mu się podobała, lecz swoboda jéj obejścia niezupełnie mu się podobała. W jéj słowach, spojrzeniach, a nawet uśmiechu, często widoczną była szydercza żartobliwość i to właśnie niepokoiło jego stołeczną i dobrze wychowaną osobę. Radby był razem z nią żartować sobie z drugich, lecz nieprzyjemną była dla niego myśl, że byłaby także zdolna żartować sobie i z niego.

W domu Akilina bal już rozpoczął się; goście zjechało się mnóstwo i domorosła kapela skrzypiała, huczała i piszczała na estradzie, kiedy Ipatof z rodziną i Włodzimierzem Astachowem weszli na salę. Gospodarz spotkał ich u samych drzwi, podziękował Włodzimierzowi Siergieiczowi za sprawienie mu przyjemnéj niespodzianki, — jak się sam wyraził — i wziąwszy Ipatowa pod rękę zaprowadził do pokoju gdzie były stoliki do kart. W domu Akilina wszystko i muzykę i meble i jedzenie i wino, trudno było nazwać wyborowem, a nawet i drugorzędnem, lecz za to wszystkiego było obficie i sam gospodarz nie utrudzał zbytecznem nadskakiwaniem i nie pysznił się sutem przyjęciem. Szlachta też niczego więcéj nie żądała i była zupełnie ze wszystkiego zadowoloną.

Przy kolacji naprzykład podawano kawior mocno solony, krajany w kostkę, lecz każdy mógł brać palcami, komu się podobało, i było czem popić, — wprawdzie cieniuteńkiem, ale zawsze winem, a nie żadnym innym trunkiem. Sprężyny w meblach rzeczywiście były nie bardzo wygodne, a nawet w wielu foletach i sofach wcale ich nie było, lecz każdy mógł podłożyć sobie poduszkę włóczkową, a takich poduszek wyszytych własną ręką małżonki Gabriela Stepanicza była wielka obfitość, i czegóż tu było więcéj żądać?

Jakeśmy już powiedzieli, bal rozpoczął się. Tańczono kontredansa w dziesięć par. Tancerzami byli oficerowie blisko stojącego pułku, młodzi i nie młodzi obywatele, kilku urzędników z miasta. Wszystko było w należytym porządku, wszystko szło zwykłą koleją. Marszałek szlachty grał w karty z dymisjonowanym rzeczywistym radcą stanu i bogatym obywatelem, posiadającym dobra na 3000 dusz. Rzeczywisty radca stanu miał pierścień brylantowy na palcu, mówił powoli, trzymał nieruchomo zestawione pięty w pozycji używanéj przez tancerzy dawnéj daty, i nie poruszał głową zakrytą do połowy wspaniałym aksamitnym kołnierzem. Bogaty obywatel przeciwnie, ciągle śmiał się z czegoś, podnosił brwi i pokazywał białka oczu. Poeta Bodrjakof człowiek powierzchowności niezgrabnéj i dzikiéj, rozprawiał w rogu z uczonym historykiem Jewsiukowem; oba trzymali się wzajemnie za guziki. Obok nich szlachcic odznaczający się niezwyczajnie wysokim wzrostem, wykładał jakieś śmiałe teorje drugiemu szlachcicowi, który z bojaźnią patrzył mu w czoło. Wzdłuż ściany siedziały matki w pstrych czepkach, a u drzwi cisnęli się panowie, niższego rzędu, młodzi ze zmieszanemi, a starsi z pokornemi twarzami. Lecz trudno to wszystko dokładnie opisać, powtarzamy więc, że wszystko było w należytym porządku.

Nadzieja Aleksiejewna przyjechała wcześniéj jeszcze od Ipatowa; Włodzimierz Astachof ujrzał ją tańczącą z młodym człowiekiem przystojnym, w eleganckim fraku, z żywemi oczyma, czarnemi wąsikami i błyszczącemi zębami. Nadzieja Aleksiejewna miała na sobie błękitną suknię z białemi kwiatami, a mały wieniec z podobych kwiatów otaczał jéj kędzierzawą główkę. Uśmiechała się, bawiła wachlarzem, wesoło oglądała naokoło, czuła bowiem że była królową balu. Włodzimierz Astachof zbliżył się do niéj, ukłonił i uprzejmie spojrzawszy na nią, zapytał czy pamięta o wczorajszéj obietnicy.

— O jakiéj obietnicy?

— Przecież pani masz ze mną tańczyć mazura.

— Tak jest, rozumie się z panem.

Młody człowiek stojący obok Nadziei Aleksiejewny nagle zaczerwienił się.

— Pani zapewne zapomniałaś, — rzekł, że otrzymałem pierwéj jéj przyrzeczenie na dzisiejszego mazura.

Nadzieja Aleksiejewna zmieszała się.

— Ach, mój Boże, jak to będzie? odezwała się: — wybacz mi panie Stelczyński, ja taka roztargniona: istotnie przykro mi bardzo....

Stelczyński nic nie odpowiedział i tylko oczy spuścił; Włodzimierz Astachof nieco podumniał.

— Bądź tak łaskaw, panie Stelczyński, mówiła daléj Nadzieja Aleksiejewna, — i zważ na to, że przecież my dawni znajomi, a pan Astachof obcy. Nie stawiaj mnie więc w trudnem położeniu i pozwól z nim tańczyć.

— Jak się pani podoba, odpowiedział młody człowiek. Jednak to na nas koléj zaczynać.

— Dziękuję, odrzekła Nadzieja Aleksiejewna i posunęła się na spotkanie stojącego, naprzeciw tancerza. Stelczyński podążył za nią i potem spojrzał na Włodzimierza Astachowa, który także spojrzał na niego i usunął się na stronę.

Kontredans wkrótce ukończył się. Astachof pochodził czas niejaki po sali, a potem udał się do pokoju gdzie grano w karty i stanął przy jednym ze stolików.

Wkrótce uczuł że ktoś z tyłu dotknął się jego ręki; odwrócił się, przed nim stał Stelczyński.

— Jeżeli pan pozwolisz, to chciałbym z nim pomówić parę słów w sąsiednim pokoju, odezwał się po francuzku, bardo grzecznie i bez akcentu ruskiego. Włodzimierz Astachof poszedł za nim, Stelczyński zatrzymał się przy oknie.

— W obecności damy, rzekł on w tymże samym języku; — nie mogłem powiedzieć nic więcéj nad to co powiedziałem; spodziewam się jednak że pan nie przypuszczasz, abym miał zrzec się prawa jakie mi służy, do tańczenia mazura z panną Wieretjef.

Włodzimierz Astachof zadziwił się.

— Czy tak? zapytał.

— A tak, spokojnie odpowiedział Stelczyński założył rękę za kamizelkę i rozszerzył nozdrza. — wcale nie myślę i to stanowczo.

Włodzimierz Astachof także założył rękę za kamizelkę, lecz nie rozszerzył nozdrzy.

— Pozwól pan że zwrócę jego uwagę, rzekł, — iż przez to ściągnąć możesz nieprzyjemność na pannę Weretjef i mniemam...

— Mnie samemu także byłoby bardzo przykro, lecz któż panu przeszkadza zrzec się mazura pod pozorem słabości lub też nagle wyjechać...

— Tego nie zrobię. Za kogo to pan mnie bierzesz?

— W takim razie zniewolony będę żądać zadość uczynienia.

— To jest, w jakiem znaczeniu... zadość uczynienia?

— Wiadomo, w jakiem.

— Wyzwiesz mnie pan na pojedynek?

— Tak jest, jeżeli się pan nie zrzeczesz mazura.

Stelczyński usiłował wymówić te wyrazy z największą obojętnością.

(d. c. n.)



N. 1. Sukienka z pasowanego materjału dla małej dziewczynki.

N. 2. Marynarskie ubranie dla chłopczyka. Krój N. XII F. 33—36.

N. 3. Ubranie do gimnastyki. Krój N. XI Fig. 27—32.



N. 4. Negliż z białego półbatystu. Krój jak do ryciny 8 i 9.

N. 5. Domowe ubranie.



N. 6. Suknia perkalikowa w paseczki z podpinaną tuniką. Krój tuniki zobacz rycinę 36 i 37.

N. 7. Suknia z gładkiego perkaliku ze szlakami w paseczki.



N. 8. Negliż na rano garnirowany szlaczkiem w tureckim guście.

N. 9. Negliż formą Gabrjeli garnirowany plisami.

Dalszy ciąg opisu N. 30.

N. 34 Letnia zarzutka na głowę, z grenadiny, krepy lub tiulu.

Na takie zarzutki, służy także cienki muślin biały, przybrany koronką, haftem lub kokardami, albo też piękna miękka krepa jedwabna, lub gazą. Okrycie to może być odrobione nie tylko w białym lub czarnym, lecz w każdym kolorze, dobranym podług gustu np. srebrno popielatym, różowym, niebieskim, lila i t. p. Model odrobiony jest z różowéj jedwabnéj krepy, ozdobiony białą koronką, przyszytą białą haftowaną aplikacją. Z pod koronki spada frendzla koloru krepy. Kokarda zrobiona z pięknéj rypsowéj wstążki.



N. 11. Blacha do konsoli ryc. 10.



N. 13. Szczypczyki do roboty skórzanéj przy konsoli ryc. 10.



N. 15 a. Winogrono ze skóry do ryc. 10.



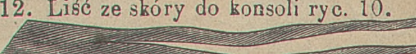
N. 15 b. Perełka do winogrona ryc. 15 a.



N. 10. Konsola z garnirunkie liści skórzanych. Krój w dodatku N. XIV. Fig. 39—50.



N. 12. Liść ze skóry do konsoli ryc. 10.



N. 16. Pasek skórzany do wąsów winogronowych.



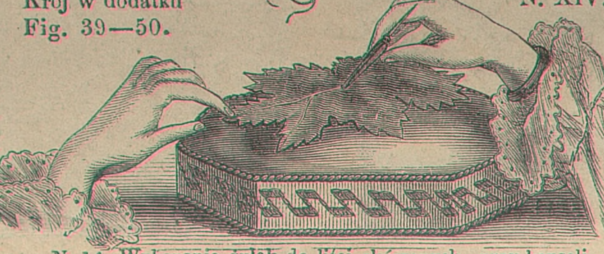
N. 17. Wąsy skręcone do winogrona.

N. 35—37. Kołnierz chusteczkowy i rękawki.

Plecionka w ząbki i robota szydełkowa.

Na formę chusteczki służyć może forma kołnierzyka podłużnego, 60 cent: długiego i 8 szerokiego. Z tyłu zszywa się z dwóch części pojedynczych. Robotę ząbków spajanych szydełkiem wskazuje w naturalnéj wielkości rycina 37, przy któréj podany jest i kawałek tła.

Każda z czytelniczek z łatwością odrobi szydełkowe s p o j e n i e, odrachowawszy ilość oczek na wzorze.



N. 14. Wykonanie żyłek do liści skórzanych przy konsoli.

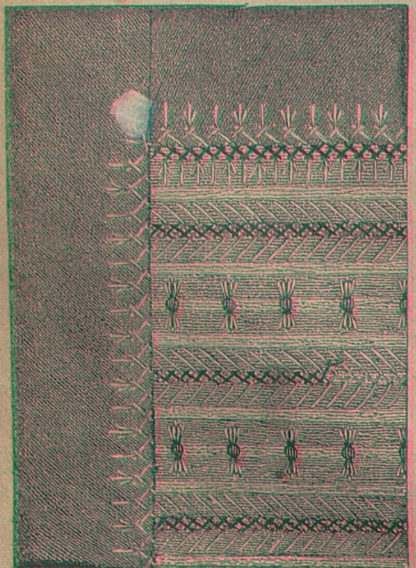


N. 18. Deseń do wyszycia sutaszem na pice do ryc. 35.

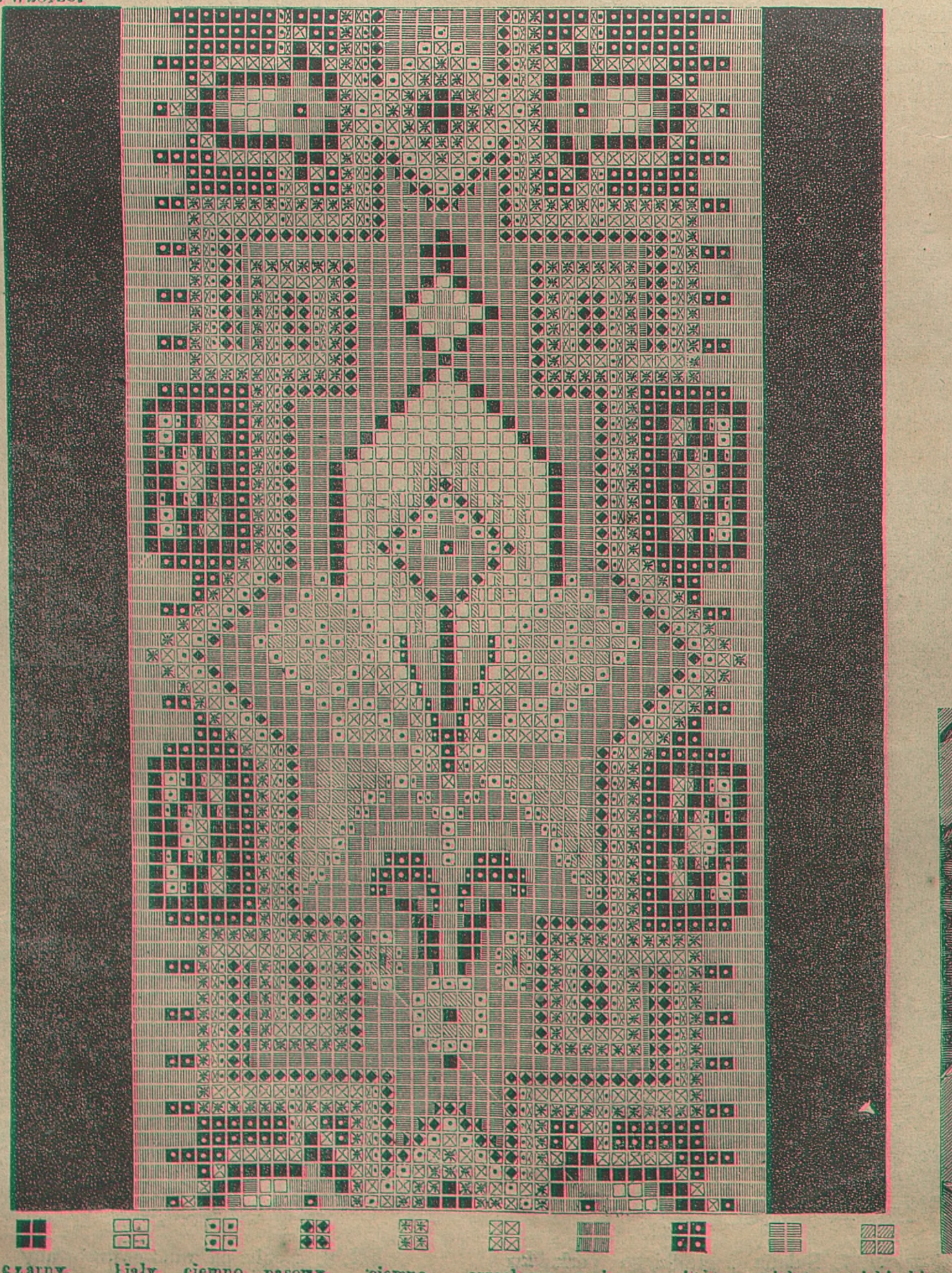
N. 36 przedstawia rękaw odpowiedni do chusteczki. Na przód odrabia się szeroki pas szydełkowéj roboty, 50 cent. długi, do którego spaja się szlak z plecionki odrobiony, tak samo, jak przy chusteczce. Kolorowa kokarda zapina chusteczkę i drzystrają przefałdowany rękaw.

N. 38. Stanik w kolorze „écru" garnirowany plisowanym muślinem i koronką.

Drobno fałdowana muślinowa falbanka, z koronkowym brzeżkiem, licząca 5 centy. szerokości, stanowi garnirunek wraz z ażurową wstawką, podłożoną aksamitką czarną, do stanika z materjału w kolorze „écru."



N. 20. Deseń do wyszycia dywanika, serwety lub poduszki sukiennéj.



czarny, biały, ciemno pąsowy, pąsowy jaśniejszy, ciemno orzechowy, orzechowy jaśniejszy, maisowy, ciemno zielony, zielony jaśniejszy, niebieski,

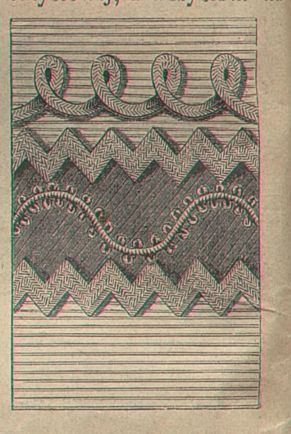
Długość garnirunku koło szyi wynosi blizko 70 cent; przybranie to, formą chusteczkową ma na końcach zaokrągloną falbankę, równie jak przy oszyciu półotwartych rękawów.

N. 39—40. Muślinowa chusteczka, do podłużnego wykroju stanika i szeroki rękaw.

Proste odrobienie chusteczki składa się ze skośnych, 4 cen. szerokich, kawałków muślinu, założonych jeden na drugi w trzy fałdy i przyszytych do dwóch skośnych kawałków po 35 cent: długich, a 4 szerokich. Jako oszycie służy tiulowa wstawka i koronka. W koło lekko przymarszczonéj falbany rękawa, dany garnirunek z plisek, wstawki i koronki. Gładka część jest 48 cent. szeroka, środku 13, a zwężająca się do 3 cent: na szwie.

N. 41. Spódnica biała z ozdobnemi szwami.

Dolna część spódnicy poł batystowéj, z wszyciem na szwach podanéj na rycinie 41, zakończona 20 cent: szerokim pasem, z materjału przerabianego w zakładki i ażury. U dołu przyszyta koroneczka, przefałdowywana na zakładkach. Ażeby plisa ta miała krój kliniasty, potrzeba gdzie niegdzie założyć małe fałdki, przyszywając

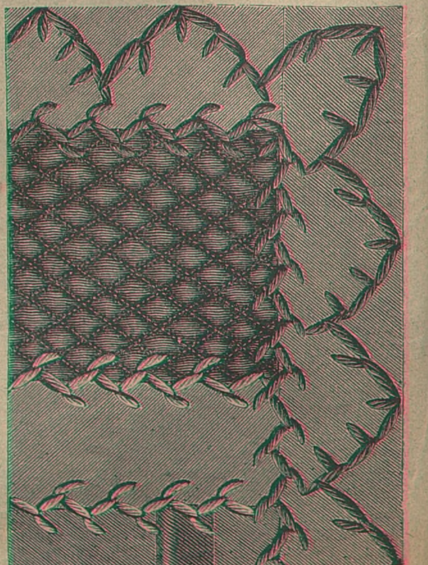


N. 19. Garnirunek do sukni pikowéj rycina 35.

ją do spódnicy. Przyszycie plisy zakończone jest w górze jednym rzędem kratek, tak samo łączone są z sobą bryty spódnicy. Spódnica wszywa się z przodu gładko do paska, w ząb wyciętego, a z tyłu obrębia i nawleka tasiemką.

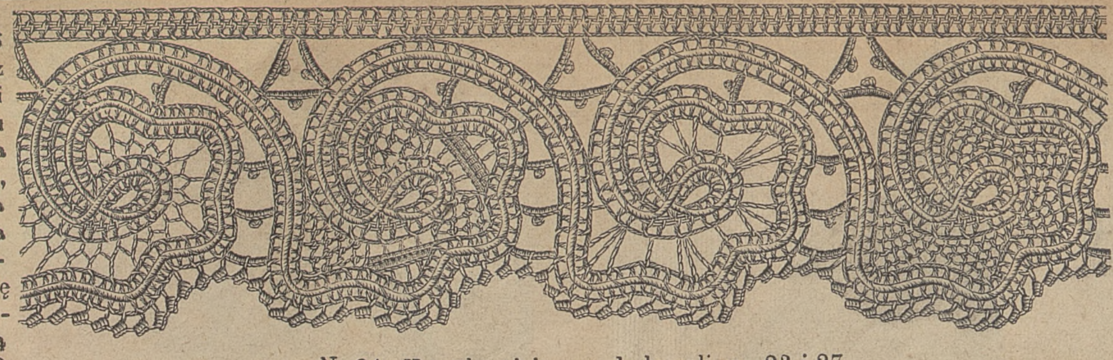
N. 42 i 23. Suknia z batystu „écru" ze zwierzchniem pokryciem z muślinu.

Dolny wolant sukni, 36 centy: szeroki ma za nagłówek 6 — 8 cent. szeroką, podwójną falbankę, podaną na rycinie 23, u dołu zaś podobneż zakończenie z falbanką z jednéj strony, 5 cent szeroką. Zwierzchnie pokrycie



N. 21. Dywanik mozajkowy z rozmaitych kawałków sukna do ryc. 20 w T. Mód. N. 32.

mające 80 cent. przedniéj, a 46 bocznéj długości, kraje się z przodu w całości, zszywa i podnosi na bokach a z tyłu fałduje w kontrafałdy i podpina w bufę. Tył ma 84 środkowéj, 57 centy. bocznéj długości. a 135 cent: szerokości. Suta muśliuowa kokarda i szarfy oszyte koronką, przyszywa się na pasku. Brzeg tuniki, oszyty $5^1/_2$ cent, szeroką i wąziutką koronką i wstawką tiulową 2 do 4 cent. szeroką. Wolant przy rękawach, 80 centy. długi, 16 centy. szeroki oprócz koronki, naszyty jest falbanką muślinową 4 centy: szeroką, zakończoną koroneczką.



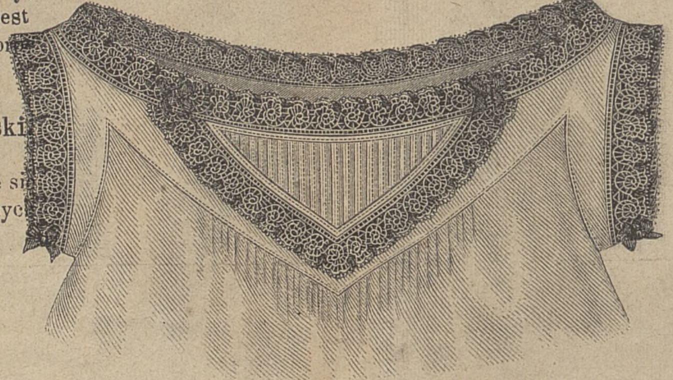
N. 24. Koronka gipiurowa do koszuli ryc. 23 i 27.

N. 4. Ranne ubranie z białego „Cambric"

Podług formy do N. 8 i 9 przykrojone ranne ubranie, przybrane jest bufami i falbankami z białego pół batystu. Przy luźno puszczonym paletociku oprócz bufki z obydwóch stron wązką falbaneczką zakończonéj, dany szlak 5 cent; szeroki, haftowany na pół batyście. Suknia zapinana z przodu na guziki, zakończona jest wolantem 35 cent. szerokim, licząc w to i lekko nadmarszczoną falbankę batystową 8 cent: szeroką. Batystowa bufa stanowiąca nagłówek wolantu, jako też garnirunek paletocika i rękawów, ma wraz z falbanką 7 cent: szerokości.

N. 43. Suknia z tuniką z perkaliku w paski.

Ładne to ubranie, skromnie odrobione, składające się z bluzki pod szyję, tuniki, szarf i spódnicy, przybranych

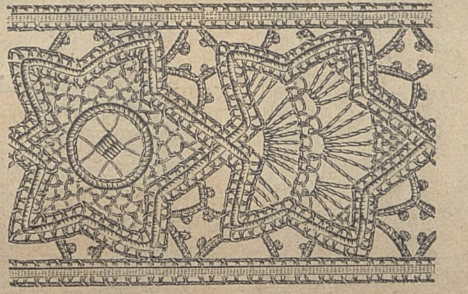


N. 23. Damska koszula wycięta. Krój w dodatku N. III. Fig. 9.

N. 5. Ubranie domowe z fartuszkiem.



N. 25. Damska koszula nocna. Krój w dodatku N. IV. Fig. 10. Zobacz ryc. 26.



N. 26 Wstawka gipiurowa do koszuli ryc. 25.



N. 27. Damska koszula nocna. Krój N. IV. Fig. 10.

plisami $2^1/_2$ i $4^1/_2$ cent: szerokiemi, ze skosów z tegoż co suknia materjału, oszytych z obu stron białą wypustką, stanowi gustowną domową lub spacerową toaletę. Przyszycie patek otwartych do rękawów, przykrywa skos i kokarda. Ładne przybranie stanowią także skośne plisy w pasy, na sukni gładkiéj lub marmurkowéj.

Na tę suknią służyć mogą wszelkie letnie wyroby.

Garnirunek może być odrobiony z plis skośnych i plisowanych falbanek z tego co suknia materjału, ze szlaków pasowanych lub z innego wyrobu, dobranego do gatunku i koloru sukni albo nakoniec do sukien pikowych i perkalowych z białego muślinu lub batystu écru.

Fartuszek z perkalu écru, oszyty jest koronką irlandzką lub „bruges", albo szlakiem z niezbyt cienkich frywolitów lub roboty szydełkowéj wraz z ząbkami z tasiemki.

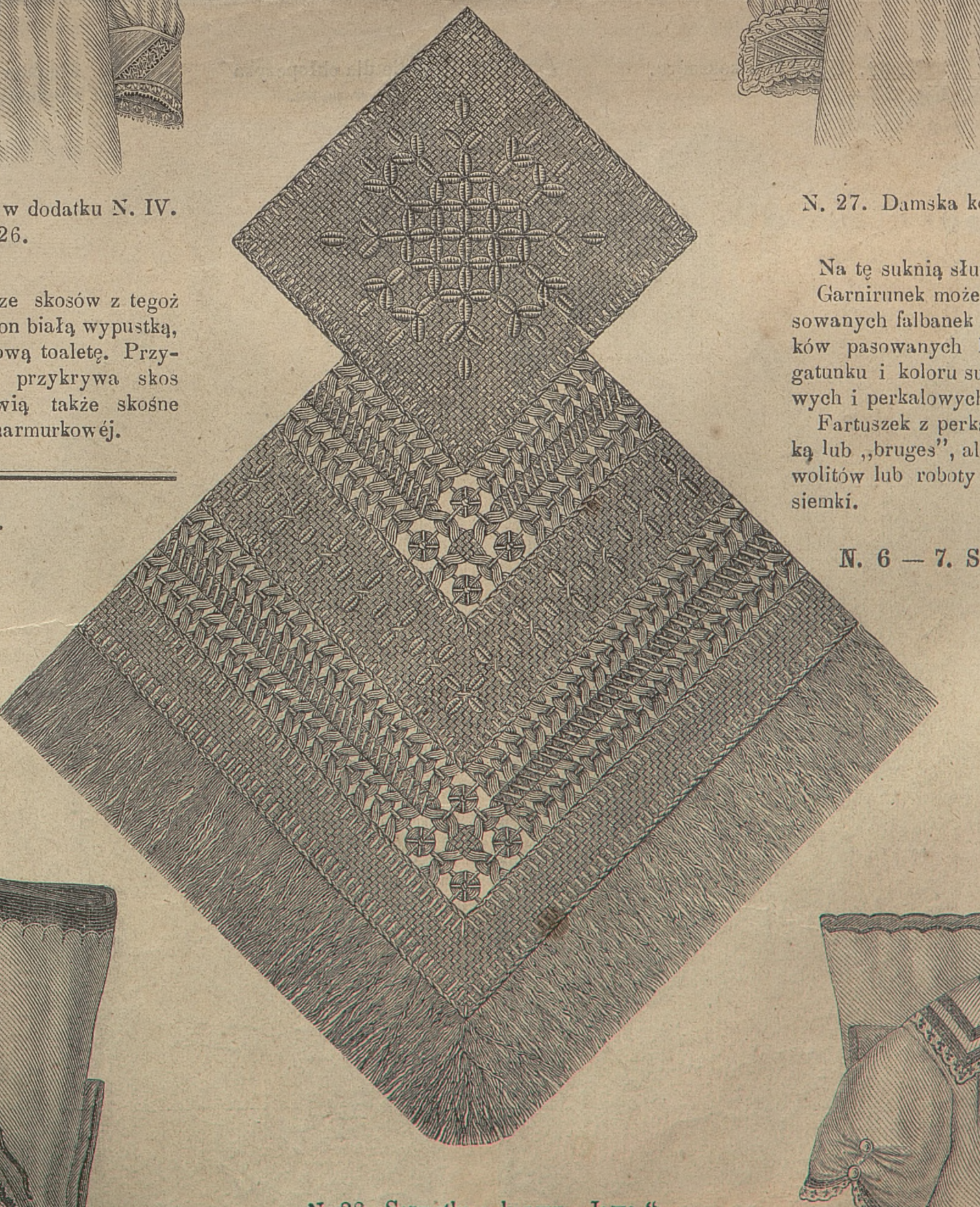
N. 6 — 7. Suknie z podpinanemi tunikami.

Dalszy ciąg opisu N. 31, nastąpi w dodatku N. 32 Tyg. Mód.

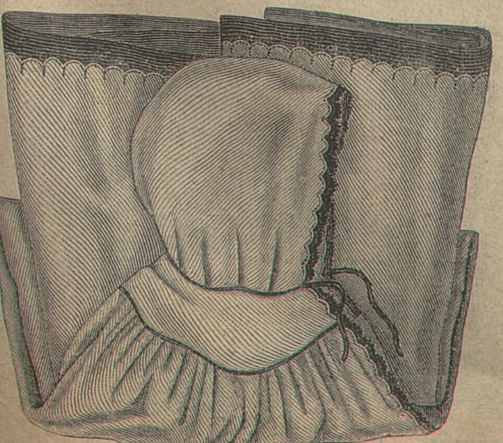
Opis N. 31.

N. 1 Sukienka z pasowanego materjału dla małéj dziewczynki.

Stosując się do tak upowszechnionéj dziś mody, podajemy sukienkę z dopasowanym szlakiem dla dziewczynki. Forma podawana już była w poprze-



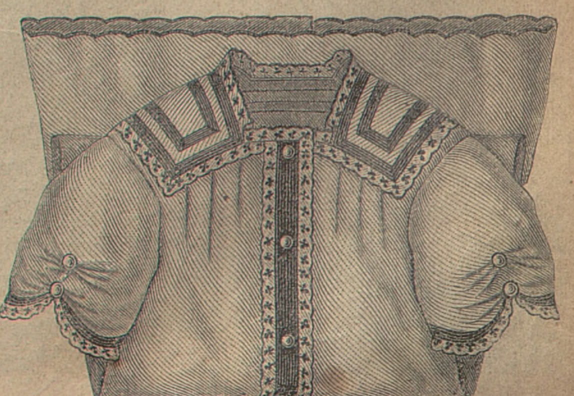
N. 28. Serwetka z kanwy „Jawa."



N. 29. Płaszczyk do kąpieli z kapturkiem. Krój N. VI. Fig. 13 i 14.

dzających numerach, układ zaś garnirunku dokładnie wskazuje rycina.

N. 2 i 3. Opisy na dodatku z krojami.



N. 30. Koszula do kąpieli. Krój N. V Fig. 11 i 12.





N. 31. Kostium z grenadiny. N. 32. Ubranie z kaszmiru.
Krój N. IX i X. Fig. 21—26.

N. 33. Ubranie dla chłopczyka z dryliszku w paski. N. 34. Bluzkowy fartuszek z rękawkami. N. 35. Sukienka pikowa. Zobacz ryc. 18 i 19.





Ubrania do żałoby.
N. 36. Suknia powłóczysta z tuniką. N. 37. Kostium z podpinaną tuniką.
Krój tuniki N. II Fig. 6 i 8.

N. 38. Ubranie do żałoby z okryciem. N. 39. Ubranie do żałoby z kaftanikiem. N. 40. Ubranie muślinowe w rzucik czarny dla małej dziewczynki.